

# O d a ę ł o s y



23 (516)

8. VI. 1969 r.

Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII



KAROL BADZIAK

## *Pilnie poszukiwani*

**JOANNA P.**

**i dr TOMASZ J.**

Joanna i Tomasz — popularna to ostatnio w naszym kraju para. Pewien pisarz współczesny postanowił nawet wprowadzić ich osobiście do literatury. Przyrzekł o każdym oddzielnie książkę napisać. Ma nadzieję, że książki te znajdują się w spisie lektury szkolnej.

Czymże takim doniosłym oboje się wstawili? Jakich wyjątkowych czynów dokonali, że tak o nich głośno. Otóż okazuje się, że Joanna P. ukończyła Studium Nauczycielskie, a dr Tomasz J. Akademię Medyczną i choć oboje mogli otrzymać zameldowanie na stałe w Łodzi i mieszkać w dużym mieście, dobrze się urządzić, żyć w dostatku i dobrobycie, ożenić się, wyjść za mąż — wyjechali na wieś. Ona jako nauczycielka poszła w lud z kagankiem oświaty do zapadłej wsi, gdzie ludzie miast wdzięczności odpłacają się jej nieufnością, a w trakcie robót w polu nawet wrogoscią. Odciąga bowiem dzieci od pracy do nauki. On jako lekarz zamiast składać forszę na samochód usiłuje osuszyć sędzawki będące źródłem zarazków w pewnej sanatoryjnej miejscowości.

Joanna i Tomasz są pełni zapału do pracy społecznej, aktywni, pomysłowi, ale ich inicjatywy spotykają się często z podejrzliwością lokalnych kaucyków, niezadko z tępym oporem okolicznej ludności. — Ani chybi, musi jakoweś grubsze świństwo się za tym kryć — myślą bliźni, obserwując ich bezinteresowne wysiłki. Szczególnie kombinacje lekarza z tym osuszaniem sadzawek wydają się niektórym mocno podejrzane, zaś jego kolegom po fachu po prostu odrażające. Własna bezinteresowność i cudza zawiść go zgubią. Tym bardziej, że facet dostał się na medycynę bez dodatkowych punktów, z wyjątkiem urodziwa ciotka z awansu mu pomogła, bo był przystojniejszy od swego brata.

— Otrzymałem wszystko co trzeba... Muszę to oddać com wziął... — powiedział

Dalszy ciąg na str. 4

RYSZARD BINKOWSKI

## ORZGO WIE i odpuszcie jego

Jedną z największych tradycji Rzgowa są odpusty. Odprawuje się taki odpust, techną zapachem dawnych, szczytnych czasów jarmarkowych. Na wstępie muszę już stwierdzić, że odpusty grosz pcha się dziś bezwstydnie do kiejd szamanów przy kolach z drażkiem i furczącym piórkim. Oto przystanek tramwajowy. Z czerwonych pudeł wywala się różnobarwny tłum, rozpelza stronami, i znać, iż coś się dzieje tego dnia. Lecz odpustu nie widać, rynek pusty, ten gliniasty rynek,

1.

gdzie ongi pan piekarz, wielbiciel piłki grał w „nogę” z chłopakami, zarażał ich futbolem, by wyrwać z niedzielnej nudy. I były tu kolorowe odpusty, rozkrzyczane, rozkręcone dachami karuzel. Teraz skwer piękny, zielony, pocięty zólciami alejkami zwirowanych, pośrodku koło klombu mieni się pawimi oczami bratków. Futbolisci poszli na stadion, zielony stadion, który wyczarował inżynier Chrabelski na piaszczystych rozdolach za osadą.

Gdzież więc ten odpust? Rozpelzły tłum znów się zlewa, łączy się w potok, wciska w gardziel ulicy Rawskiej za remizą strażacką. I już pachnie odpustem, już po ko-

cich łbach wiatr szasta papierzykami, bibulkami, cukierkową okładziną. Pod ścianami, w cieniu i na słonecznej stronie ulicy, stoją smutni baloniarze. Piecze ich majowe słońce; kurz, upalnie, już powysychały rynsztoki, nad głowami baloniarzy rozkrzyczane barwą, ponadymane stwory kołysz wiatr.

A ponad całą tą masą rozgibaną wiruje ogniście stożkowaty dach karuzeli. Gdzie te czasy, gdy chłopaki piekli się ochoczo na drewniany pomost, by chwytając za ramiona karuzeli, pchać je do przodu; by wątlymi barkami rozkręcić huśtawki i łódki i wyzwolić radość, uciechę, zawrót głowy u starych

pryków, podlotków i moźniejszych koleżków z klasy. Za pięć kursów był bilecik, wolne miejsce w dynadającej bryczuszce, spełnienie dzieciecego marzenia o szalonym locie. Dziś nowoczesność, z serca płóciennej budy dudni silnik spalinowy. Tylko ta sama, od wielu lat, gra dwuosobowa orkiestra. Harmonia brązowa, rzeźbiona bogato, harmonista z głową na miechach ułożoną, a obok bęben, drewno wyszlizgane, zdrapane, skóra przetarta i wyświechtana. Bębniasta jedzie równo, miarowo na nożnym pedale,

Dalszy ciąg na str. 4





Niedziela minęła pod znakiem wyborów:  
W POLSCE, gdzie masowym udziałem w głosowaniu i poparciem programu FJN społeczeństwo opowiedziało się za pokojową polityką, która gruntuje nasze bezpieczeństwo, umacnia braterskie sojusze i zapewnia krajowi wysoką pozycję w świecie.

WE FRANCJI, gdzie rozstrzygnęła się przyszłość V Republiki. I właśnie wyborom francuskim poświęćmy nieco uwagi.

Tuż przed 1 czerwca z siedmiu kandydatów do prezydenckiego fotela trzech według licznych badań sondażowych wysunęło się na czoło: Pompidou — 41 proc., Poher — 27 proc. i Duclos — 16 proc. Tak zarysowany obraz sytuacji przedwyborczej wskazywał na postępującą w miarę zbliżania się terminu wyborów przesunięcia — wzrost głosów na Duclos i spadek na Pohera. Podniosło to temperaturę wyborów, ciągle jednak dając największe szanse gauliście — Pompidou i kandydatowi centrum — Poherowi. Niedzielną, pierwszą turą wyborów potwierdziła przewidywania. Obaj ułokowali się na czołowych miejscach, choć Poher odniósł zwycięstwo nad Duclos jedynie niespełna 2 proc. głosów.

Jako że do balotażu stają Pompidou i Poher warto zastanowić się, co zapowiadają oni w polityce międzynarodowej.

Można stwierdzić, że żaden z nich nie zamierza w pełni podtrzymać polityki de Gaulle'a. Obaj wprowadzą zapowiadając kontynuowanie odprężenia i są zwolennikami dialogu ze Wschodem, równocześnie jednak obaj akcentują swe „europejskie” i proatlantyckie tendencje. W ich ustach konieczność utrzymania niezależności Europy i Francji ma inną treść niż w ustach de Gaulle'a.

UPI pisała na ten temat:

„Wielka polityka zagraniczna de Gaulle'a zaczyna rozpylić się. Zaledwie miesiąc po odejściu de Gaulle'a lody istniejące w stosunkach Francji ze Stanami Zjednoczonymi i W. Brytanią zaczynają topnieć. Dwaj czołowi pretendenci do fotela prezydenckiego pomogli w przyspieszeniu tego procesu. Wszystkie dotychczasowe oznaki wskazują, że niezależnie od tego, który z nich zwycięży, okres sżywej, bezkompromisowej, a nawet obstrukcyjnej dyplomacji francuskiej, zbliża się do końca”.

Obaj też nie chcą hermetycznie zamykać EWG przed W. Brytanią. Poher jest optymistą wobec możliwości jej przystąpienia do Wspólnoty Rynku, Pompidou wykazuje więcej sceptycyzmu.

Z analizy wystąpień przedwyborczych Pompidou i Pohera wynika, że obaj gotowi są rozważyć i zrewidować politykę Francji wobec Wietnamu i Bliskiego Wschodu.

Wszystko to nie otwiera pomyslnych perspektyw francuskiej polityce, która w wydaniu de Gaulle'a z wielkim trudem torowała sobie drogę do niezależności.

\* \* \*

W czwartek rozpoczyna swe obrady w Moskwie dawno oczekiwana ŚWIATOWA NARADA PARTII KOMUNISTYCZNYCH I ROBOTNICZYCH. Poprzedziła ją ogromna praca przygotowawcza. Końcowym akordem tych przygotowań było posiedzenie komisji w dniach 23—30 maja, które z udziałem przedstawicieli 70 partii odbyło się w Moskwie.

Poszczególne delegacje przedstawiły opinie swych Komitetów Centralnych na temat głównego dokumentu narady, mówiącego o zadaniach walki przeciwko imperializmowi i jedności działania partii komunistycznych i robotniczych oraz wszystkich sił antyimperialistycznych.

Przedyskutowano wstępnie także inne projekty dokumentów postanawiając przedstawić je naradzie.

Tak oto dochodzi do skutku od 6 lat dyskutowana i kilkakrotnie przesuwana nowa międzynarodowa narada. Znaczenia już tylko samego faktu zebrania się kierownictw ogromnej większości działających w świecie partii — nie trzeba z pewnością podkreślać. Jest to dowód zwycięstwa tendencji jednościowych, przeciwko którym występuje KP Chin. Rolę, jaką ma do spełnienia narada, wyciepka obecna sytuacja międzynarodowa. Od 1960 roku, kiedy to odbyła się poprzednia narada, wydarzyło się w świecie wiele. Do problemów, jakie wówczas pozostawały na porządku dnia, doszły nowe: ostra faza konfliktu wietnamskiego, Bliski Wschód, burzliwe wydarzenia w „trzecim świecie”, pogłębienie rewizjonistycznej polityki NRF...

Większość z nich potwierdziła słuszność analizy dokonanej przed 9 laty przez 81 partii, wiele wskazuje na potrzebę aktualizacji danej wówczas oceny. Tym bardziej, że w tym czasie pojawiły się w międzynarodowym ruchu tendencje odśrodkowe, mające swój początek w rozłamowej polityce maoistycznego kierownictwa Chin, a dyskutowane przez siły imperializmu.

W tej sytuacji znaczenie światowej narady jest szczególnie duże i nie ogranicza się tylko do ruchu komunistycznego i robotniczego.

Obrady moskiewskie potrwają z pewnością kilkanaście dni, a my niejednokrotnie powracać będziemy do tego tematu.

W. ŚLAWSKI

JAN KOPROWSKI

## Pech, przypadek czy coś innego?

A więc Dni Oświaty, Książki i Prasy mamy już za sobą. Skończyły się kiermasze uliczne, festyny w parkach, konkursy i koncerty. Piękny w tym roku (przynajmniej częściowo) maj sprzyjał imprezom na wolnym powietrzu. Ludzie odświętnie ubrani odwiedzali tłumnie stoiska, gdzie mogli uzyskać autograf pisarza, spacerowali po alejach, wygrzewali się w słońcu.

Nie można już sobie wyobrazić życia kulturalnego w Polsce bez Dni Oświaty, Książki i Prasy. Weszły one na trwałe do naszych poczynań kulturowych, stały się czymś niezbędnym w dziedzinnie propagandy literatury i sztuki. Ukoronowaniem tych dni były Między narodowe Targi Książki w Warszawie, impreza odbywa na już po raz czternasty, na którą śpieszy każdy kto żyje. I ja tam byłem i wszystko zwiedziłem. Aż żal serce ścisła, że nie można tych wspaniałości zabrać ze sobą, oglądać i czytać je do woli w domu, cieszyć się nimi i namawiać do radości innych. Setki i tysiące albumów, powieści, reportaży podróżniczych, specjalności naukowych, które oferują Targi, z każdym rokiem więcej zajmujące przestrzeń i obficie zaopatrzone — wprawiają w zachwyt, ale i oszalałają jedną nocześnie. Kto to wszystko ogarnie, kto przeczyta, kto się w tym do reszty rozeznaj?

Rokrocznie w maju odbywa się ogromna ilość spotkań literackich. Może nawet jest ich za dużo. Pisarze idą do bibliotek i świeżość fabrycznych, do szkół i klubów, jadą na wieś i do małych miasteczek, aby spotkać się ze swoimi czytelnikami, porozmawiać z nimi na tematy literackie, od kryć „tajniki własnego warsztatu”. Są to rzeczy potrzebne, bowiem zbliżają pisarza do czytelnika, a czytelnika do pisarza, ułatwiają zrozumienie współczesnych problemów literackich, które nie są ani proste, ani łatwe. Pod jednym wszakże warunkiem: że spotkania te są dobrze zorganizowane i że pisarz biorący w nich udział solidnie się do tego przygotowuje. Nie mogę w tym miejscu mówić za innych moją opinią jedynie o sobie i we własnym imieniu. Otóż nie będę tał: z roku na rok mam coraz gorsze doświadczenia. Wiele spotkań autorów, na które organizatorzy gorąco i uparcie mnie zapraszają, nie dochodzi w ogóle do skutku, a i te, które dochodzą, pozostawiają często tak wiele do życzenia.

Czy oznacza to, że jestem pechowcem i nie mam tzw. szczęścia, czy też, że coś się popsło w akcji spotkań z pisarzami i że przypadki te nie są odosobnione?

Najpierw kilka faktów. Prawie z reguły nie udają się spotkania ze studentami. Kiedyś zaproszono nas w trójkę do klubu „Kontynenty”. Prócz organizatorów nikt się tam nie pojawił. Organizatorzy nie przewidzieli tego, że jest Zofia, że tego dnia był wtorek, no i że nikt nie przyjdzie. Bo jak nikt nie przyjdzie, to wszystko jest niedobre: dzień, święta Agata, pogoda, film w telewizji, spotkanie z Szarikiem z „Czterech pancernych” itp. Niedawno zaprosiłem mnie studenci ekonomii i socjologii. Ustalili mi dokładny termin, przyszedłem, i cóż się okazało? Organizatorzy byli rozpaczeni: nie udało im się nikogo zwerbować. A podobno wszyscy o tym spotkaniu marzyli i, oczywiście, żeby było tylko ze mną. Posiedzieliśmy, pogadaliśmy, wypiliśmy kawę i wróciłem do domu. A po drodze myślałem sobie: studenci to ludzie wymagający, intelektualiści, ich byle czym nie zaspokoju. Ostatnio, na przykład, znacznie zmniejszyła się frekwencja „Pod siódmą kani”. Jak myślicie, dlaczego? Oto dlatego, że w bufecie nie sprzedaje się już piwa. A jeśli nie ma piwa, to jakże tu zatrudnić się intelektualnie, o czym mówić i o czym dyskutować?

Wydział Kultury pewnej łódzkiej Rady Dzielnicowej doszedł do wniosku, że trzeba by urządzić kiermasz na wolnym powietrzu. Pomysł zrealizowano. Został zaproszony do podpisania książki. Pogoda była istotnie piękna, drzewa osypane kwiatami, w pobliżu woda, ludzi sporo, bo to właśnie niedziela. Początkowo nawet się opierałem, wyrażałem wątpliwość, czy rzecz się uda i czy warto. Ale pani, która ze mną rozmawiała, takie rozłoczyła perspektywy, że w końcu uległem (człowiek jest istota słaba). Przyszedłem na umówioną porę. Nikt na mnie nie czekał, a pani, która do wszystkich zalałowała, w ogóle nie wzięła udziału w uroczystości. Stoiska nie było, książki nie było, po godzinie odnalazła mnie na pani i mocno przeproszała, bo to nie oni winni, tylko „Dom Książki”. Prawdę mówiąc, wcale się tym tak mocno nie zdziwiłem. Dziwię się raczej wtedy, gdy wszystko „gra”. Natomiast,

Łodzianie w karykaturze



TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI  
poeta, tłumacz, prozaik

rys. Ibis-Gratkowski

gdy coś nie klapuje, uważam to za stan normalny.

Parę razy wyjechałem po Łódź. No cóż, ciągnie człowieka w świat. Dotarłem nawet do Dobrzelina pod Zychlinem. Wieczór się odbył, ale jakież było zdumienie moje i ludzi, gdyśmy się dowiedzieli, że organizator podał trzy różne godziny rozpoczęcia tego spotkania: o godzinie siedemnastej, osiemnastej i dziewiętnastej. Wskutek czego część osób nadeszła w chwili, kiedy już było po wszystkim. Ale to przykre wydarzenie osłodziła mi pewna słuchaczka, kobieta starsza i w sprawie literatury zupełnie nie wtajemniczona. Słuchała bardzo uważnie, za co byłem jej ogromnie wdzięczny. W pewnym momencie zaczęła mówić o zagadnieniu fikcji w utworze literackim. Moja słuchaczka wyrażała się zaniepokojona. Społgądała na mnie z rosnącą trwogą w oczach, aż wreszcie wykrzyknęła: „O, Jezusie Maria, a ja myślałam, że wy piszecie prawdę!” A piszemy prawdę, piszemy — odpowiedziałem — tylko i naczaj. Nie dawała za wygraną: „Po co inaczej, piszcie tak jak jest”. Nie zdolałem jej, niestety, wytłumażyć, na czym polega zmyślenie literackie (zresztą nie chciała przyjąć tego do wiadomości), ale oślniła mnie jej spontaniczność, szczerść, prostota, no i ta niespotykana wiara w potęgę literatury. Zapomniałem na wet na chwilę o organizatorze, który bardzo był z sie

bie zadowolony i miał mi za ziew, że ośmieliłem się powiedzieć parę krytycznych słów o jego talentach.

Takich nieudanych spotkań mógłbym naliczyć wiele. Mógłbym powołać się na świadectwa kolegów, którzy skarżą się, że instytucja imprez autorskich bardzo podupadła. A zatem nie jest to tylko pech, przypadek czy przyszłowiowy brak szczęścia u piszącego te słowa. Brak odpowiedzialności, zwykle niedbałość, a nieraz i brak zmysłu organizacyjnego to najczęstsze przyczyny niepowodzeń spotkań autorskich. Zdarza się, że i pisarz zawini, ale są to doprawdy wypadki sporadyczne, które dają się porachować na palcach jednej ręki. Na tle tej sytuacji tym większym blaskiem świecą imprezy udane, zorganizowane ze znajomością rzeczy i doskonałym wyczuciem potrzeb własnego środowiska. Za przykład do naśladowania podałbym tutaj Zakłady im. Niedzielskiego oraz Zakłady im. Marii Konopnickiej, gdzie spotkania z pisarzami zorganizowano na piątkę z plusem. Udają się także spotkania w liceach i technikumach (choć i tu zdarzają się niewypały) oraz w bibliotekach. Może by więc posłać tam na przeszkolenie tych, którzy mają dobre chęci, ale nie wiedzą jak. Bo tych, co nie mają talentów i lekce sobie ważą swoje obowiązki, należy posłać gdzie indziej.

## Listy DO REDAKCJI

SZANOWNA REDAKCJO!

Pozwalam sobie już po raz drugi skreślić parę słów na temat podjęty przez „Odgłosy”, tj. na temat drużyny piłkarskiej Łódzkiego K. S. Piłnie śledzę wszystko to co się na ten temat pisze, bo o ile o wszelkiego rodzaju plotek aż

rol się wśród kibiców, o tyle bardzo trudno znaleźć w łódzkiej prasie rzeczową wypowiedź na tenże temat. Przecież blisko już rok mija od spadku ŁKS do II ligi a wszystkie publikowane wypowiedzi prasowe, nadal uparcie trudzą się nad znalezieniem przyczyn klęski drużyny, przyczyn które są przecież znane każdemu bliżej interesującemu się piłką nożną w Łodzi. Rok czasu na rozpamiętywanie klęski to co kolwiek za długo. Rozgoryczenie, nerwowość a także i pewna doza złośliwości zawarta w pewnych notatkach prasowych, nie pomogą ani zarządowi klubu ani zawodnikom a już bynajmniej nie przyczynią się do tego co klubowi w tej chwili najbardziej potrzebne — do poprawy wokół niego atmosfery.

Zwracał już na to uwagę, (w jednym z ostatnich numerów „Odgłosów”) p. red. Kaczmarek i słusznie. Dotychczasowa dyskusja nad ŁKS nie przyniosła przecież, (poza nielicznymi wyjątkami) ani jednej wypowiedzi co robić by straty odzyskać. Weźmy np. artykuł p. red. Skibickiego z nr-u 11 „Odgłosów” pt. „Cesarskie cięcie konieczne”, w którym wyluszczone szeregi przyczyn degradacji ŁKS, ale prawdę mówiąc nie wyjaśniono na czym ma polegać owo zbawienne cięcie. Czytając ten artykuł można by np. dojść do wniosku, że sytuacja w ŁKS jest tak zła, iż klub ten nie ma prawa istnieć nie tylko w I ale i w II lidze, bo żaden z zawodników tej drużyny (poza Sadkiem) nie ma pojęcia o grze w piłkę nożną. Czy nie za wiele prze

sady? Pan red. Skibicki pisze, że niemożliwy jest powrót drużyny do I ligi w składzie jakim ona aktualnie dysponuje. Czyżby? Proponowałbym wobec tego małą próbę — rozwińmy drużynę i pozwólmy zawodnikom rozjechać się do innych klubów krajowych, a okaże się, że każdy z nich będzie mocnym punktem drużyny, do której trafi. Nieprawdą jest, że drużyna ŁKS nie dysponuje dobrymi zawodnikami, natomiast prawdą jest, że jako zespół gra ona od kilku lat słabo, ale jeżeli tak jest to przede wszystkim dlatego, że jest ona źle prowadzona i niewłaściwie kierowana. Do poprawy atmosfery wokół ŁKS (i łódzkiej piłki nożnej), nie mogą przyczynić także sygnały o nieporozumieniach między klubami nt. utworzenia tzw.



# SÓL i ME TAL

Jego nazwisko, to samo, co w dowodzie osobistym, wypisano białą farbą na burcie statku, który już ponad dwadzieścia lat pływa po morzach świata. I od dwudziestu lat na prywatny, sopocki adres nadechodzą listy od nieznanym ludzi z pozdrowieniami, albo życzeniami a mali chłopcy wprasają się do mieszkania, aby posuchać ile ton waży maszyna okrętowa albo zapytać jaki plusk wydaje o wodę stalowy kadłub parowca zsuwającego się z pochylni.

— No dobrze, a jaką długość ma ten pana statek? — pytała śmieci.

— Co przewozi?  
— Gdzie pływa?

Robi się późno i chłopcy wychodzą z mieszkania. Jutro przyjdą tu znowu, będą pytać bez końca, aż zrobi się tak późno, że sami wrócą do swych domów.

Można by tym chłopakom przy kolejnej wizycie nie otworzyć po prostu drzwi, ale Stanisław Soldek dobrze rozumie ich ciekawość. Bo przecież pamięta siebie chłopcem jeszcze piętnastoletnim na nadwiślańskim brzegu nieopodal modlińskiej stoczni rzecznej zapatrzonego w słodkowodne krypty, które nigdy nie poznały smaku soli. Choć takie niewielkie, przywodziły mu przecież na myśl dalekie podróże, tajfuny i morki, o których czytał w książkach. Przychodził tam wielokrotnie, aby chociaż popatrzeć, bo wiedział, że dostać się do stoczni, do pracy nie sposób. Był rok 1933, kolejny rok kryzysu gospodarczego paraliżującego Polskę. A przecież próbował Starzy, doświadczeni robotnicy przepędzali go:

— Co się tu płaczesz pod nogami, jeszcze cię kto rozdepcze.

A jednak próbował i któregoś dnia dopłynął swego. Wzięto go do traserni. Tam ścierając kolana o podłogę hali, z wiecznej pochyłymi plecami, rozrysowywał szablon ucząc się trudnego zawodu trasera. Już wtedy ukochał morze, choć miał się z nim związać dopiero kilkanaście lat później, wczesną wiosną roku 1946, kiedy wrócił do Bałtyku i na polskim, wyludnionym jeszcze wybrzeżu organizowało się nowe życie.

Morze staje się przeznaczeniem wielu ludzi z głębokiego lądu, którzy długo pędzą życie nie powąchawszy ani jednego sztormu, aż wreszcie jedna szczęśliwa sposobność całkowicie odmienia ich losy. Jednym z takich ludzi, podobnie zresztą jak Stanisław Soldek, jest Kazimierz Brzeziński, który przyjechał do Gdańska w kwietniu 1945 roku, kiedy w powietrzu wisiła jeszcze woń spalenizny, lekko tylko złagodzona powiewami świeżej wilgoci od morza.

Kazimierz Brzeziński urodził się w większym kowale, ale od dzieciń-

stwa ciągnęło go do przemysłu. Urodził się kowalem, ponieważ kowalem był także jego ojciec, od którego uczył się fachu wędrując od majątku do majątku w poszukiwaniu roboty. Z początku Kazimierzowi wolno było spoglądać w ogień, albo zabawić się przed większą kuźnią kawałkami niepotrzebnego żelastwa. Ale niezbyt długo trwało to dzieciństwo. Któregoś dnia rodzic bez uprzedzenia zawołał go do kuźni, rozstawił na ziemi dwa kloce drewna, położył na to deskę i wskazując ten pomost powiedział krótko:

— Właż, teraz twoja kolej.

Zanim się chłopak zorientował, już miał w ręku sześciokilowy młot i walił w rozpalone żelastwo na kowadle. Ojciec poprawiał go:

— Tak uderzaj! No, teraz!

Potem pracowali już razem, podkuwali konie dla dworów, a kiedy zabrakło zajęcia brali na olecy na rzedzia i przenosili się dalej. Ojciec załatwił mu cechowe papiery, więc kiedy trafiła się okazja Kazimierz Brzeziński został w majątku Kruzyn, bo spodobała mu się tam jedna dziewczyna. Oświadczył się jej i został przyjęty, po ślubie zamieszkali w dworskich czworakach. Ale niezbyt długo wytrzymał na posadzie, bo administrator zaczął się nachalnie zalecać do jego żony. Kiedy Brzeziński to zobaczył, rzucił mu pod nogi klucze od kuźni, kazał się swojej kobiecie zbierać i powędrował do Włocławka, gdzie była młotownia Szwarcza i gdzie miał nadzieję dostać się do pracy. Było to w 1928 roku. Przyjęto go z wynagrodzeniem 50 gr na godzinę.

W pięć lat później Brzeziński przeniósł się do Starachowic zaprotęgowany przez kolegę, z którym pracował u Szwarcza. Dostał tam wyższe pobory i musiał od nowa uczyć się swego fachu. Pewnie by się długo nie utrzymał na tej posadzie, ale na początku, kiedy mu nie szło, opił sprawę z majstrem a nowych zajęć nauczył się szybko.

— Jakość stali — tłumaczy — poznaje się po iskrze. Jak iskra jest ciemna, to znaczy się, stal najlepsza, szybkożnąca.

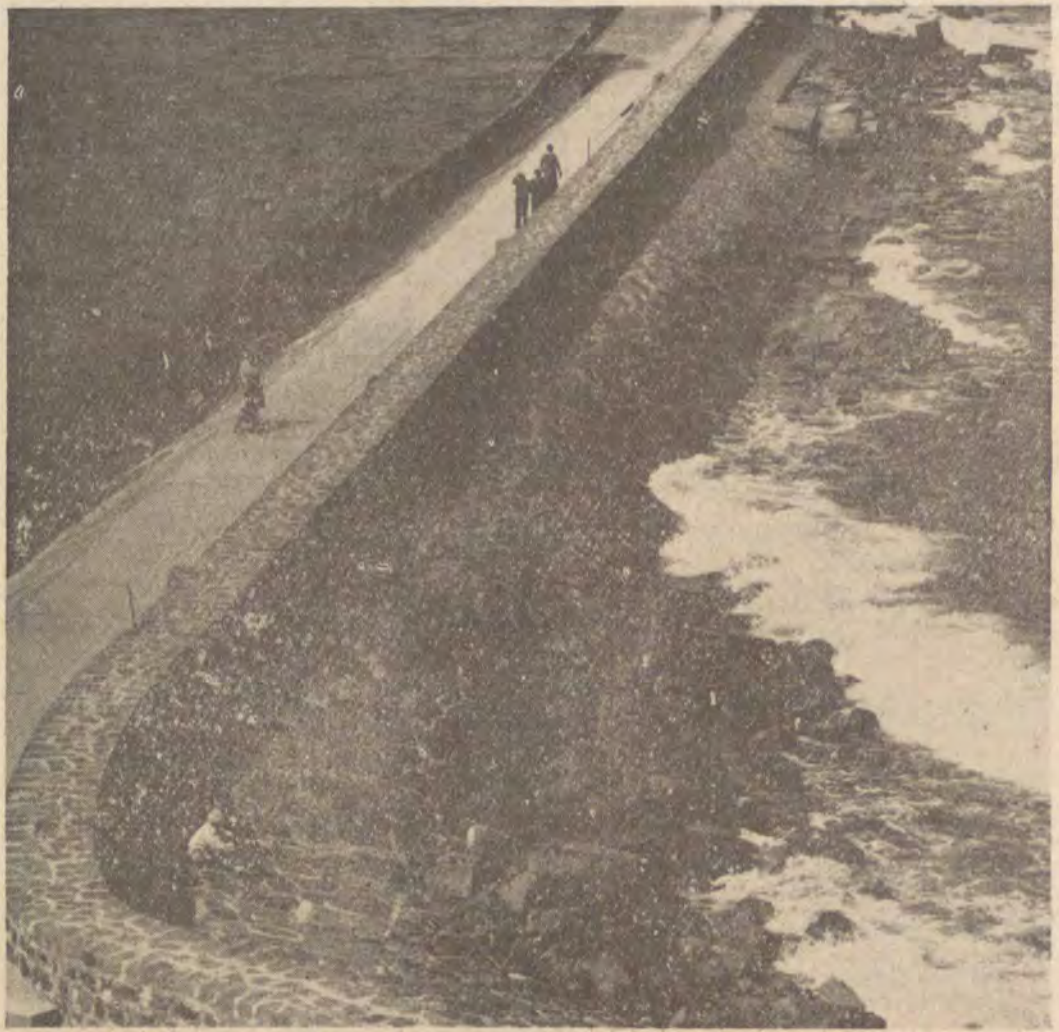
Przekuwał, jeszcze przed wojną, wszystkie gatunki stali. Oblaskawiał swoim młotem „tytany”, „giganty”, „hermesy”, stal z jedną gwiazdką, z dwoma i z trzema gwiazdkami, bo niektóre gatunki stali, jak koniaki, mają swoje szarże.

Pewnego razu „Resursa” w Starachowicach ogłosiła wycieczkę do Gdyni. Kosztowało to masę pieniędzy, ale Brzeziński nie pozostał w groz, bo chciał chociaż raz w swoim ciężkim życiu zobaczyć morze, żeby miał co w przyszłości opowiadać wnukom. Jak przyjrzał się portowi, nie chciało mu się wracać do Starachowic. I zwrócił się z kolegą rzemieślnikiem, żeby tu zostać na stałe. Ktoś poradził im, żeby się wystarali o dozorstwo, więc zaczęli pertraktować z jednym cieciem, który chciał odstąpić za pieniądze swe zajęcie.

— Sześć tysięcy — zaśpiewał im — w rok się wam zwróci. W tym domu państwo dają duże napiwki.

Zajrzeli do służbowego mieszkania i przekonali się, że jego gospodarz nie dysponował podobną sumą przez całe życie, więc podziękowali mu grzecznie. A zresztą, nawet gdyby interes rzeczywiście się opłacał, nie posiadali nawet dziesiątej części tej sumy.

— A jednak — uśmiecha się Brzeziński — zamieszkałem w końcu na Wybrzeżu i robię okręty. No, prawdę powiedziawszy, niektóre części do okrętów, a sporo ich wyszło spod mej ręki.



Fot. Jacek Maroszek

Tego rodzaju opowieści usłyszeć można od prawie wszystkich starszych stażem pracowników Gdańskiej Stoczni im. Lenina. Tych, co budowali pierwszy pełnomorski statek polski s/s „Soldek” i tych, co jeszcze przed „erą rudowęglowców” usuwali z nabrzeży miny, albo rozgrzebywali gruzy hal produkcyjnych w poszukiwaniu jakichś cudem ocalałych części maszyn, żeby je zmontować w zaimprovizowaną tokarkę.

Kiedy wojska II Frontu Białoruskiego dowodzone przez generała Batoła 30 marca 1945 roku zdobyły wreszcie Gdańsk, do wyzwolonego miasta natchemiasz zaczęli zjeżdżać Polacy z tych części naszego kraju, na których ustały już działania wojenne. Nad grami Dworu Artusa powiewał biało-czerwony sztandar zatknięty przez polskich żołnierzy, którzy wspólnie z oddziałami armii radzieckiej tą wczesną wiosną ostatniego roku wojny otworzyli nam drogę nad Bałtyk. Przybywających tu pionierów witają pożary i ruiny.

Na dwa dni przed wyzwoleniem Gdańska w okolicy miasta dotarła Morska Grupa Operacyjna, która miała przejąć i zabezpieczyć zakłady przemysłowe. Liczyła 12 osób. Do miasta weszli nocą przedzierając się przez płomienie. Za grupę stoczniową odpowiedzialny był inż. Witold Urbanowicz, który w parę tygodni później dostał do pomocy jeszcze kilku inżynierów okrętowców. Byli to niemal wszyscy specjaliści stoczniowi, jakimi w tym czasie dysponowała Polska. Chociaż bowiem podczas okupacji na tajnym kursie Wydziału Mechanicznego Politechniki Warszawskiej — siedmiu studentów przygotowano do zawodu stoczniowca, kurs został w pol-

wie przerwany z momentem wybuchu powstania warszawskiego.

Grupa stoczniowa rozpoczęła swoją działalność od inwentaryzacji zniszczeń. Dwa największe zakłady: Danziger Werft i Schichau Werft leżały w ruinie. Mury hal produkcyjnych i budynków administracyjnych wypalone były do fundamentów, a te, co jakimś cudem ocalały, miały popękane ściany. Wchodzono do nich z zabudowania przykryte dachem pana Boga, niebem, potykając się o zwaliska cegieł. W basenach portowych zalegało 80 wraków okrętów i zatopione doki oraz dźwigi. Obok kadłubów pełnomorskich statków przeświecały przez mętną wodę trupy pociągów koni i furmanek chłopskich, zwoje lin stalowych i kłęby kołczastego drutu. Nabrzeża podziurawione artyleryjskim ogniem i bombami utrudniały dostęp do basenów portowych, gdzie wojna dokonała przecież również bezwzględnych spustoszeń. W wypalonych halach produkcyjnych natknąć się można było na porzucane segmenty niemieckich łodzi podwodnych, które ani razu nie kołysały się na fali.

Te pejzaże nie zapowiadały niczego dobrego, ale przybysze z głębi kraju z zapamiętaniem zabrali się do prac porządkowych. I już w pierwszych miesiącach z terenu stoczni usunęto 18.000 ton gruzu oraz 5000 ton żelaznego złomu, który powędrował do hut.

Kazimierz Brzeziński przyjechał do wyzwolonego Gdańska w kwietniu 1945 roku. Przyjechał w warunkach, jak na tamte czasy, luksusowych: od Związku Zachodniego dostali do spółki z kolegą wagon towarowy, do którego załadowali się z rodzinami i całym dobytkiem. Podróż była zmusna, wielodniowa. Odczepiano ich wa-

gon na jakichś bocznicach kolejowych, gdzie tkwili beczynnie, póki nie znalazł się jakiś parowóz jadący na północ. Ale przecież dotarli w końcu nad morze. Naprzeciw dworca kolejowego mieścił się magistrat, gdzie Brzeziński skierował pierwsze swoje kroki.

— Do stoczni — powiedział Brzeziński, kiedy zapytano go, gdzie chce pracować.

— Pan jest fachowcem? — ustąpił od jakiegoś urzędnika.

— Kowal jestem — powiedział na to Brzeziński.

Człowiek w cywilnym ubraniu wyskoczył zza biurka i zaczął ścisnąć Brzezińskiego dłoń nie pozwalając mu dojść do słowa.

— Człowieku, z nieba nam chyba spadłeś! — powiedział z entuzjazmem urzędnik.

Brzeziński nic nie odpowiedział na ten wykrzyknik, cierpliwie czekał, aż się wyjaśni, czego tu od niego chcą.

— Mamy tutaj konie — zaczął tłumaczyć urzędnik — ale wszystkie nie podkute. A tu trzeba, wie pan, transport uruchomić, życie organizować.

Brzeziński odczekał chwilę i powiedział stanowczo:

— Chcę do stoczni. Szmat drogi po to przejechałem.

— Do stoczni, oczywiście, że do stoczni, ale najpierw konie — upierał się urzędnik. — To teraz ważniejsze.

— Niech będą konie — zgodził się wreszcie Brzeziński.

Konie były ciężkie, belgijskie. Podkuwał je równo dwa miesiące na placu przed magistratem, gdzie ustawiono połową kuźnię. Potem zbuntował się i zażądał, żeby go zwolnić. Wrócił do swego miesz-

Dalszy ciąg na str. 10

sekcji wiodących (piłki nożnej), jeśli są one prawdziwe to nie zawaham się powiedzieć, że stanowią one największą groźbę nie tylko dla ŁKS, ale i dla pozostałych klubów Łódzkiego okręgu. Rywalizacja w sporcie jest rzeczą konieczną byle nie była posunięta do granic absurdu.

Trzeba przecież zdawać sobie sprawę, że ani „Start” ani „Wiśniak” nie są niestety predestynowane do spełnienia pierwszoplanowej roli w łódzkim piłkarstwie także i dlatego, że nie mają za sobą owych 50 lat istnienia, dzięki którym ŁKS stał się w kraju synonimem łódzkiego sportu. Ta tradycja jest bardzo ważnym czynnikiem składającym się na odrodzenie zespołu i nie wolno go zaprzepaszczać tylko dla żle pojętych ambicji lub w i-

mię chwilowej przewagi organizacyjnej, któregośkolwiek z lokalnych rywali. Wszyscy ci, którzy sądzą, iż przyszłość łódzkiego piłkarstwa leży poza ŁKS, powinni przypomnieć sobie los okręgu poznańskiego, w którym po upadku „Warty” próbowano utworzyć „silne” ze spóły w takich klubach jak „Olimpia” czy „Lech”.

Przekazując te uwagi, które nasunęły mi się przy lekturze artykułów o ŁKS raz jeszcze pozwalam sobie przypomnieć jaką rolę odegrała łódzka prasa w analogicznej dla tejże drużyny sytuacji w r. 1933. Można by śmiało stwierdzić, że miała ona wówczas co najmniej połowę zasług w odbudowie organizacyjnej drużyny i w ogóle w odrodzeniu sekcji piłkarskiej tego klubu. Dziś tracimy czas na dość jałowe rozważa-

nia, dlaczego poziom łódzkiego sportu, mierzony jest wynikami ligowej drużyny ŁKS. Sądząc, że dzieje się tak dlatego iż żyjemy w tej części świata, w której piłka nożna jest i długo jeszcze pozostanie sportem nr 1, nie powinno być więc dla nikogo dziwne, że nawet przeciętny piłkarz ligowy cieszy się większą popularnością, niż mistrz olimpijski w strzelaniu np. do rzutków.

JAN DIEHL

#### AMATORSKA ŻÓŁTA ŁÓDŹ PODWODNA

Kilka miesięcy temu przeczytałem w „Dzienniku Łódzkim” wiadomość o pewnym młodym człowieku, który buduje sobie w domu samolot i to nie taki do zabawy, ale prawdziwy, do latania. Przeczytałem i moja

ambicja konstruktorska została podrażniona. Jak to, ktoś twórczo wyteżga swój umysł by okrzyk chwalebny „Nasze Miasto, by rozstawić imię polskiej techniki, a ja miałbym siedzieć z założonymi rękoma i patrzeć obojętnie na bieg historii. Podjąłem wyzwanie i postanowiłem wybudować najprawdziwszą łódź podwodną. Muszę przecież udowodnić, że podobieństwo mego nazwiska i nazwiska wielkiego polskiego pioniera podwodnej żeglugi nie było przypadkowe. Sporządziłem pełne obliczenia i rysunki łodzi, zgodnie z najnowszymi badaniami i wzorami obliczeniowymi. Wyniki moje znalazły pełne uznanie w oczach wybitnego specjalisty z Politechniki Warszawskiej, który specjalnie przyjechał by się z nimi zapoznać. W tej chwili jestem w trakcie prac przy-

gotowawczych i w najbliższym czasie rozpoczynam budowę. Zadzroszczę tylko memu rywalowi patronatu „Dziennika”, zawsze prasa to potęga, a i ja mam spore kłopoty ze zdobyciem odpowiednich materiałów. Może któryś z czytelników ma w domu zbędny peryskop i mógłby go odstąpić? Bardzo by mi to ułatwiło i tak wiele skomplikowane zadanie.

Osobnym kłopotem jest wybór nazwy dla przyszłej Królowej Mózg. Idealną chyba byłaby „Prząśniczka”, jednak nie chcę się uciekać do marnego naśladownictwa i postanowiłem ochrzcić swą łódź imieniem Kariatydy Atlantydy. Oczywiście jest to na razie projekt nazwy, lecz gdyby któraś z gazet codziennych zechciała ogłosić plebiscyt i pomóc mi w wyborze nazwy, takiej która jednocze-

nie przyniosłaby chwały naszemu miastu, to i tak bym się nie zgodził, bo uważam że gazet mają za mało miejsca na omawianie spraw ważniejszych i poważniejszych od takiej jak budowa prywatnej łodzi podwodnej. Zwłaszcza że nie będzie to łódź atomowa, tylko na pedał, taka jaką wymyślono już chyba ze sto lat temu. Co to więc za sztuka zrobić to jeszcze raz, zwłaszcza, że pożytek niewielki, a stracony na budowę czas można by poświęcić naprawdę miastu choćby przyszło przy pomocy łopaty kopać wiadukt na ulicy Kopcińskiego. Lecz my, niewolnicy techniki, choć myślimy racjonalistycznie, to nie zawsze obiektywnie. Więc do zobaczenia w przyszłym roku w Arturówku na uroczystym wodowaniu mej łodzi.

JAN A. DRZEWIŃSKI



# Pilnie poszukiwani

JOANNA P.  
i dr TOMASZ J.

Dalszy ciąg ze str. 1

Tomasz J. w wywiadzie udzielonym przed stawicielowi redakcji „Odgłosy”.

Myślę, że już czas najwyższy ujawnić jego nazwisko. Nazywa się Judym, dr Tomasz Judym. Nauczycielka Podborska, Joanna Podborska, pseudonim literacki „Silaczka”.

Przepraszam Czytelników za tę małą mistyfikację. Jeśli ich od razu nie rozpoznaliście, dowodzi to dobitnie, że postać Judymowska nie jest anachronizmem, że Silaczka nie jest przeżytkiem. Te piękne postaci literackie wyczarowane siłą talentu Stefana Żeromskiego zawierają w sobie trwałe wartości. Ich cechy charakteru takie jak pasja pracy, wrażliwość społeczna, zaangażowanie, nie są czymś XIX-wiecznym. Nie żądamy natomiast od nich jednej rzeczy tj. rezygnacji z osobistego szczęścia, ofiary. Ofiarnictwo, skrajne poświęcenie jest dla współczesnego Judyma czy Silaczki czymś zbytecznym. W świadomości społecznej przeżył się wzór społecznika, który zawsze działał kosztem własnego szczęścia. Czy to będzie Judym, który dla poprawy losu maluczkich rezygnuje z miłości, czy to będzie aktywista, który dla sprawy zaniedbuje własny dom, rodzinę, wychowanie dzieci. Tacy ludzie stawiają się dziś w sytuacji dwuznacznej moralnie. Jakże człowiek, który nie potrafi zbudować własnego szczęścia — może uszczęśliwić innych.

Charakter społecznika jest funkcją charakteru stosunków społecznych. Jego działalność jest zdeteminowana przez warunki w jakich żyje. Wyróżniam w naszej niedawnej i nielatywnej historii trzy typy, trzy wzorce społeczników, wszystkie trzy już dziś nie do przyjęcia, ale w określonym czasie były jedynie możliwe.

1. Społecznik-idealista, romantyk typu Judyma czy Silaczki składający na ołtarz wzniosłych ideałów ofiarę z osobistego życia. Działał on w okresie zaborów. Brak własnego państwa, instytucji i organizacji zajmujących się rozwiązywaniem problemów społecznych musiał zastąpić ofiarą jednostki. Był zmuszony działać kosztem wyrzeczeń, kosztem własnego losu. Wywodził się przeważnie z klas uprzywilejowanych. Był oświeconym posłańcem tych klas, niosącym kaganiec oświaty „młodochowi”. Idealny, szlachetny, wzniosły, ale z góry skazany na przegraną. Miał wdzięczności lud przyjmował go nieufnie, podejrzliwie, częstokroć nawet wrogo. Przynosił bowiem szczęście z zewnątrz jak katolicki misjonarz zbawienie Zulusom.

2. Społecznik - aktywista, zrodzony w latach walki o władzę ludową. Kiedy jedni się uczyli a drudzy dorabiali — w dodatku nie zawsze uczciwymi sposobami — on walczył z bandami w lesie, agitował, organizował akcję żniwną, zakładał spółdzielnie produkcyjne itp.

3. Społecznik - profesjonalista, funkcjonariusz pracy społecznej uginający się pod



Fot. Jacek Maroszek

jarzem wielu funkcji. Człowiek składający też pełen zapas, dobrej woli i dobrych chęci, ale pracujący w końcu źle i na niwie społecznej i na zawodowej. Jest głęboką ironią losu, że w kraju, gdzie działanie społeczne ma za sobą tak bogate tradycje, stopień uznania p o w s z e c h n e g o społeczników nigdy nie równoważył ich wysiłków. Nie można jednak ludziom dziwić się, że obdarzali ich dość umiarkowanym szacunkiem. Coż, nawet szanując w pełni skuteczność ich intencji i doceniając skuteczność ich działania, ludzie zawsze będą odnosić się z rezerwą do tych, którzy przegrywają własne życie, narażają na szwank własne ognisko domowe lub zaniedbują się w pracy zawodowej. Ale przecież gdyby nie oni, nie byłoby tak jak jest.

Ewolucja modelu społecznika związana jest integralnie z rozwojem demokracji so cjalistycznej, która stwarza możliwość szerokiego udziału obywateli w życiu państwowym i społecznym. Każdy człowiek powinien być społecznikiem. Społecznikiem nie dla kaprysu, nie z nudy, nie z nadgorliwości, lecz dlatego, że człowiek z natury swej jest istotą społeczną.

Obserwowałem niedawno spotkanie współczesnych Silaczek i Judymów w Gdańsku. Spotykają się raz do roku, wymieniają poglądy, dzielą doświadczeniami, opowiadają o swych sukcesach i klęskach, mówią o swych marzeniach, projektach, troskach, potrzebach i trudnościach. Następnie rozchodzą się, rozjeżdżają — każdy w swoją stronę. Właściwie niby nic. Jednak jest w tym przecież głęboki sens, choć spotkania te, zwane wzniosłe kongresami, oby

wają się bez uchwał, rezolucji i deklaracji. Ich uczestnicy pochodzą ze wsi. Działają nierzadko w pojedynkę choć niesamotnie. Dlatego spotkania mają charakter przeglądu sił. Mogą się policzyć, zobaczyć jak wielu ich jest. W ostatnim kongresie wzięło udział ponad 300 osób. Byli wśród nich nauczyciele, młodzi rolnicy, agronomowie, technicy, inżynierowie, robotnicy, działacze ZMW, jednym słowem młoda inteligencja wiejska. Niestety, na tym kongresie Silaczek i Judymów zabrakło lekarzy. Czyżby powszechność lecznictwa zlikwidowała Judymów? Są oni dziś równie potrzebni na wsi jak za czasów Żeromskiego, a może jeszcze bardziej. Zdrowie i higiena wsi pozostawiają jeszcze wiele do życzenia.

Powszechność oświaty nie zlikwidowała np. „Silaczek”. Rola nauczyciela jest coraz trudniejsza. Szybko rośnie bowiem góra wiedzy, a pojemność dziecięcych głów pozostaje ciągle ta sama. Zresztą chodzi nie tylko o to, by młody obywatel opuszczał szkołę z pełnym torbistrem rzetelnej wiedzy, lecz by również wyniósł stamtąd wrażliwość na krzywdę ludzką, poczucie sprawiedliwości społecznej, umiłowanie piękna i dobra, delikatność uczuć, rzeczowy światopogląd i szerokie horyzonty. Zadaniu temu sprostać może tylko współczesna Silaczka czy Silaczek.

Walka o zdobycie i utrzymanie autorytetu nauczyciela trwa ciągle. Powiada się, że ten autorytet ostatnio nieco zmalał. Pogląd ten wydaje mi się dość powierzchowny. Nastąpił po prostu bardziej szczerzy, prawdziwy podział uznania społecznego. Za czasów Żeromskiego Silaczka była tylko nauczycielka, Judymem tylko

lekarz, dziś wśród Silaczek i Judymów znaleźli się agronomowie, inżynierowie, bibliotekarze, działacze ZMW i inni.

Pierwszym Judymem roku został na Kongresie w Gdańsku nie lekarz, nie Silaczka, a właśnie młody rolnik, Kazimierz Arczewski. Jego ojciec kształcił dzieci, które pozostawały w mieście, a gospodarstwo podupadło. Kiedy ojciec zmarł, pozostawił najmłodszemu synowi 80 tysięcy złotych długu. Młody Arczewski wrócił z miasta, aby ratować ojcowiznę przed kompletną ruiną. W krótkim czasie spłacił dług. Odremontował dom, rozwinął hodowlę, uprawił ziemię, zebrał plony. Pracował na roli i uczył się zaochnie. Dni były dla niego za krótkie, noce za długie. Pracą i nauką zdobył sobie autorytet wśród starych gospodarzy. Wybrano go prezesem kółka rolniczego. Zadłużenie kółka wynosiło w tym czasie milion złotych. Młody człowiek tak pokierował pracą, że w krótkim czasie i ten dług zredukował do zera. Dodajmy do tego, że chłopak ma dopiero 21 lat. Wierzyć się nie chce, a jednak to prawda.

Z Silaczkami i Judymami woj. gdańskiego spotkał się w tym roku członek Biura Politycznego, I sekretarz KW PZPR Stanisław Kociołek. Najmłodszy członek Biura Politycznego przedstawił najmłodszym działaczom społecznym polskiej wsi zadania jakie ich w najbliższym czasie czekają. Musimy w przyszłej pięcioletce — stwierdził Stanisław Kociołek — osiągnąć szybsze tempo wzrostu dochodu narodowego, powyżej 6 proc. rocznie i na tej podstawie zapewnić wzrost stopy życiowej i lepsze warunki egzystencji. Będziemy borykać się z brakiem rąk do pracy. Musimy więc osiągnąć wysokie tempo wzrostu wydajności. Czy są to założenia realne? Tu nie ma alternatywy: nie mamy innego wyboru. Wiele mamy bowiem w Polsce do zrobienia.

Na Kongresie Silaczek i Judymów w Gdańsku był ze mną również przedstawiciel Związku Młodzieży Wiejskiej w Łodzi, Mieczysław Gumół. Wspólnie pragniemy się zapoznać nie tylko z merytoryczną, ale także z techniczną i organizacyjną stroną tego wielce pożytecznego spotkania. Redakcja nasza z połączonymi siłami ZMW zamierza bowiem na jesieni tego roku podobną imprezę urządzić dla Silaczek i Judymów z naszego województwa. Ponieważ uzyskanie miana Silaczki czy Judyma jest wielkim zaszczytem, zwracamy się do wszystkich osób prywatnych oraz organizacji politycznych, społecznych, młodzieżowych o nadsyłanie na nasz adres nazwisk i adresów ludzi, którzy w opinii waszego środowiska na ten piękny tytuł zasłużyli. Współczesna Silaczka i Judym muszą spełniać jeden warunek: wykazać się zrealizowanym konkretnym sukcesem lub osiągnięciem na polu pracy społecznej. Obojętny jest natomiast wiek, zawód, przynależność organizacyjna i miejsce zamieszkania. Chodzi nam o to, ażeby na jesiennym spotkaniu znaleźli się ludzie zaangażowani, żarliwi, pełni nieklamanej pasji społecznej, ludzie którzy już czegoś dokonali i nie zamierzają na tym poprzestać, ludzie uparci, ambitni, myślący kategoriami społecznymi i działający społecznie, ludzie miłujący swoją wioskę, swoje miasteczko, swój kraj. Powinni znaleźć się wśród nich i tacy, których trud i praca dotychczas były niezauważane, niedoceniane, ba, nawet czasem dyskwalifikowane. Prosimy naszych Czytelników, ażeby rozejrzeli się wokół siebie, poszukali i odnaleźli ludzi, których Stefan Żeromski, żyjąc dzisiaj pasowałby na bohaterów, swych pięknych książek.

KAROL BADZIAK

# ORZGO WIE i odpuście Jego

Dalszy ciąg ze str. 1

lewą ręką wali w trójkąt, dobywa ostrego tonu, i płyną stare walce, rozhasane polki i dygliwe obertasy! A nad głowami grajków wirują owe bryczki na linach, srebrne samoloty lnią i furkoczą śmigłami; kręci się obrzeżony bibułkami i frędzlami dach, tańczą ściany kolorowe z pasmem malarstwa odpu-

stowego; jada muchomory głowiste, pastuch z fujarczyną i rozryczane chutliwie jelenie nad bezbronną samką! W brykach i samo lotach dzieci: śmieją im się twarze i oczy, pęd targa czupryny. Przybyły ze wsi bez światła elektrycznego, dzieci zatyrały w licznych morgach ojcowskich, bo rodziciele dorabiają w fabrykach na strojenie malej stabilizacji, przeto maluchy zasypiają nad lekcjami. Nie dziwny się więc tej wielkiej radości, tej jedynej ucieczce w kolorowy, wirujący świat. I ta karuzela to już jest coś, to jest odpuści!

Nieco dalej, w cieniu lipy wianek nabrzmiałych emocją twa rzy — idzie gra w kości!

Na szarym papierze numery obwiedzione kółkiem. Na nich młódz stawia po dwa złote, po piątku, mocniejszy dychą przykrywa numer. Maestro, młody człowiek w rozwalonej koszuli, trzącha plastikowym kubelkiem, unosi, ilość kropek ukazuje grającym. Gra toczy się na stojącej na sztorc skrzyni

ce ogrodniczej. Często gęsto zdarza się, iż kostki stają kaniem lub wpadają w szparę; najdziwniejsze zaś to, że dzieje się tak wtedy, gdy na szkiełkach mają wyskokoczyć kropki w ilości stanowiącej obstawiony numer. Gra jest wtedy nieważna, maestro trzącha powtórnie, zgarnia forszę szybkimi, chciwymi palcami. Zawiedzeni odchodzą, robi się pusto. Wtedy do akcji przystępuje ciemny brunet w brązowym swetrze. Stawia po piątku, raz wygrywa, częściej traci, a potem rzuca dychami i wygrywa, wygrywa! Zapalają się oczy, hazard kusi, burzy umysły — ludzie grają, jest ruch w interesie! Pod wieczór widziałem, jak maestro z tym w brązowym swetrze, objęci za szyję, zdążyli marynarskim krokiem do przystanku...

3.

Szukam mistrzów krzepy, specjalistów od wycisku. Gdzież jest, do cholery, ten aparat mierzący siłę? Zawsze tu był, przy nim tłum osil-

ków i gapiów. Bywało, że chuderlak gniółł rączki siłomierza, trzeszczały portki na wypiętym zadku, drgała w miejscu wskazówka, siła nie wchodziła w sprężynę, znajdowała za to ujście nogawkami. Ale ja już wiem, co znaczy ta nieobecność właścicieli aparatów. Otóż w Rzgowie jest człowiek, który winien temu stanowi rzeczy. To wielki miłośnik sportu i opiekun młodzieży. Dzięki jego staraniom powstała sekcja podnoszenia ciężarów. No właśnie, oni pierwsi w województwie! Wszystkie sprężyny pękaly w siłomierzach, wykurzyli odpustowych gości z aparatami!

Lecz nam do tego krzyku trza podążyć, do tego czarowania gości. Nad otwartą walizką drze się młodzian z kręchą wąsą hiszpańskiego pod nosem.

— Jeden los dwa złociaki, każdy wygrywał!

Kto ręką ruszy, mały czy duży, ten wygrać musi! Ej, kto ma zo-

ne, kręci w jedną stronę, a kto bez żony, ten w obie strony!

No, lu pod te podwiązki dla gąski!

— Jezusie, jeeest! — wybucha spazmatycznie.

— Jest, u mnie, jest bomboniera dla ogiera!

A w tej bombonierze pięć owocowych z „Optimy”, a za dwa złote wygrasz groszowe spinacze, igłę z nitką, papierowy zegarek na gumce i odpuścowa piłeczka. Ludzie tego nie widzą, dzieci wcale, bo wszyscy oczarowani, wpatrzeni w mistrza, w jego szatański głos, ukolysani wulgarnym rymem częstochowskim.

— I po te pończochy dla Zochy! A młode żonkosie pod te pierścionki dla Bronki Obok silna konkurencja: krągły blat gnie się pod ciężarem barwnych, okazałych kogutów, kotów, psów i pomniejszych kaczątek z odupanymi dziobami. Stary człowiek w brązowym tandetnym stroju króluje nad glińnianym zwierzyńcem. Stary czło-



## LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Proponuję na początek kilka wspomnień. Modne są teraz kroniki pamięci i przeglądy wydarzeń, które warto przeżyć raz jeszcze. Proponuję zatem spojrzeć wstecz, choć przeżywać to ani warto, ani tym bardziej nie należy.

Jest rok 1966. W ciągu dwu ostatnich lat w Łodzi wydano na inwestycje 5,6 miliarda zł. W województwie w tym czasie rocznie wydawano na inwestycje do 3,5 miliarda zł. Nie wielkość nakładów jest jednak najważniejsza. W 1965 roku w Łodzi nie wykonano w terminie prac budowlanych, montażowych i nie dostarczono maszyn wartości 84,2 miliona zł. W żargonie działaczy gospodarczych nazywa się to — poślizgiem. Cena takiego poślizgu w roku 1966 wyniosła 130 milionów zł. „Autorami” tego były zakłady podległe MPL i MPC. Przy czym w przemyśle lekkim opóźnienia wynikały głównie z nieterminowości dostaw maszyn.

Ten sam rok — Ziemia Łódzka. Roczny plan nakładów inwestycyjnych wykonano w gospodarce społecznej zaledwie w 90,3 proc. Roczny plan robót budowlano-montażowych w 88,3 proc. W gospodarce podległej radom narodowym plan nakładów inwestycyjnych wykonano w 90,9 proc. W budownictwie więksim na Ziemi Łódzkiej nie zakończono w 1966 roku 38 przedsięwzięć.

Na początku bieżącego roku stwierdzono m. in., że z opóźnieniem oddano do użytku skrzęcalnię, farbiarnię i oddział przygotowawczy ZPP „Sandra” w Aleksandrowie, farbiarnię luźnego włókna w Zduńsko-Wojskich ZPB, tkalnię w Tomaszowskiej Fabryce Dywanów i Chodników oraz hale Zakładu Podzespołów Radiowych „Miflex” w Kutnie.

### TRZY NIE ZNACZY JEDEN

Nie są to wspomnienia najprzyjemniejsze. Wiemy, że proces inwestycyjny składa się z trzech jednakowo ważnych części — programowania, projektowania i wykonywania. Jest to jednak wiedza teoretyczna, bowiem przekonanie o jednakowym znaczeniu i ważności tych trzech elementów nie da automatycznie ich jednolici. Przekonanie, że błąd powstały w programowaniu czy projektowaniu pociągnie za sobą wadliwe wykonanie, nie przyczyni się automatycznie do jego usunięcia. Tak jak świadomość niedoskonałości wykonawczej nie przyczyni się do sprawniejszego projektowania. Za świadomością powinny iść czyny.

„Należy — stwierdza Uchwała II Plenum KC PZPR — ograniczyć nadmierne rozbudowy zakres dokumentacji inwestycyjno-projektowej, a jednocześnie podnieść jej jakość oraz konsekwentnie realizować przepisy o uproszczeniu trybu uzgodnień dokumentacji. Dla inwestycji prostych, typowych i powtarzalnych, a także inwestycji modernizacyjnych i innych o niedużym udziale robót, należy poprzestać na opracowaniu jednozawowej, maksymalnie uproszczonej dokumentacji techniczno-roboczej”.

Dla projektantów największym mankamentem jest konieczność uzgadniania dokumentacji. Maksymalna ilość uzgodnień wyraża się liczbą 36. Kodeks Postępowania Administracyjnego zezwala każdej instytucji załatwiać sprawę w ciągu 2 tygodni. Maksymalny czas załatwienia 36 uzgodnień wynosi zatem dla jednej dokumentacji aż 72 tygodnie. W praktyce trwa to oczywiście krócej. Decyduje jednak nie tyle dobra wola instytucji uzgadniających, co system znajomości. Są biura projektowe, gdzie bardziej ceni się łatwość zawierania znajomości niż... kwalifikacje.

Projektanci proponują:

— Powołać przy Miejskiej lub Wojewódzkiej Komisji Planowania Gospodarczego specjalną komórkę, która zajmowałaby się tylko i wyłącznie uzgadnianiem dokumentacji projektowej. Zaletą takiej komórki byłoby to, że dysponowałaby pełnym zestawem danych, zamierzeń i potrzeb wszystkich dziedzin gospodarki i życia.

— Ograniczyć ilość uzgodnień tylko do niezbędnych, związanych z zadaniem koordynacyjnym rady narodowej, pozostałe pozostawić kompetencjom wewnętrznej kontroli i poziomowi wiedzy projektantów.

Błąd powstały w okresie programowania mści się na całym procesie inwestycyjnym. Dlatego — postulują niektórzy — niezwykle ważne jest, aby współpraca między inwestorem a projektantem zaczynała się już w okresie programowania. Słabość służby inwestycyjnej w wielu gałęziach gospodarki nie tylko upoważnia do sformułowania takiego postulatu, ale działania takie czyni koniecznymi. Dla jego realizacji niezbędne jest inne traktowanie prac nad dokumentacjami nietypowymi, skomplikowanymi. Czas „tracony” na uzgadnianie programu, szukanie najlepszych rozwiązań, powi-

myslowym. Projektant nie dysponuje w zasadzie dokumentacją typową, którą mógłby adaptować do różnych przemysłowych potrzeb. Podobne cechy ma typ hall produkcyjnej zastosowanej w OZPB w Ozorkowie, Bielsku Blaj, Moszczenicy koło Piotrkowa Tryb. i obecnie przy budowie nowych pomieszczeń ZPDZ OLIMPIA na Nowych Sadach w Łodzi.

Projektanci w biurach budownictwa przemysłowego mają do dyspozycji wyłącznie prefabrykowaną konstrukcję dachu i podpór. Przy budowie dachu używa się warstw ocieplających i 3 razy grubszych od elementu nośnego. Projektant nie dysponuje poza tym jednolitą,

I specjalistycznych w dziedzinie rozwoju budownictwa przemysłowego?

W budownictwie istnieje precedens. Działalność koordynacyjną prace budowlane w przemyśle chemicznym i podobne — w górnictwie. Jeśli polski przemysł lekki ma stać się przemysłem naprawdę nowoczesnym, to musi w budownictwie powstać jednostka koordynacyjna, która swoim zasięgiem objęłaby cały kraj. Można oczywiście zadanie to powierzyć Zjednoczeniu Przedsiębiorstw Remontowo-Montażowych Przemysłu Lekkiego, można też rozważyć koncepcję powołania jednostki nowej, podległej Ministerstwu Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych. Budowlani są w tej dziedzinie zgodni:

— Jednostka koordynacyjna dla potrzeb budownictwa przemysłowego w przemyśle lekkim jest niezbędna!

Sprawa jednak nie ogranicza się tylko i wyłącznie do zapewnienia właściwej organizacji działania. Obejmuje ona też zagadnienia produkcyjne. Chodzi po prostu o to, aby budownictwo przemysłowe w ślad za mieszkaniowym wyszło ze sfery wielkich, rzemieślniczych improwizacji i stało się przemysłem. Inaczej za rok, za dwa będziemy mogli powrócić do kroniki wspomnień i przypomnieć fakty i dane, które lepiej nie przypominać. Gorzej — będziemy mogli przypomnieć własne postanowienia i uchwały, które racjonalne w treści pozostały tylko doskonałymi sformułowaniami. II Plenum KC PZPR — w ślad za poprzednim postanowieniami — określiło zasadnicze kierunki działania. Teraz chodzi tylko, aby od postanowień przejść do ich realizacji.

# KROK za improwizacją

nien w skutkach procentowa skracaniem czasu projektowania i tańszymi sposobami wykonania inwestycyjnych zamierzeń.

### TESKNOTA ZA NOWOCZESNOŚCIĄ

W Łodzi w ubiegłym roku powstało 4,6 proc. krajowej globalnej produkcji, a w województwie — 3,7 proc. W tym czasie pracowało tutaj 5,6 proc. i 4,4 proc. wszystkich zatrudnionych. Znane są powszechnie warunki ich pracy. Jeśli w kraju stopień zużycia budynków fabrycznych wynosi 33,1, maszyn i urządzeń — 51,4, a środków transportowych — 43,7, to w przemyśle włókienniczym stan zużycia budynków wynosi 46,9 proc., maszyn i urządzeń — 62,8, a środków transportu — 73 proc.

W Łodzi stan zużycia budynków fabrycznych wynosi 41,8 proc., maszyn i urządzeń — 62 proc., a środków transportu — 68,6 proc. W województwie stan zużycia budynków fabrycznych wynosi 29,1 proc., maszyn i urządzeń — 52,9 proc., a środków transportu — 63,2 proc. Przy czym dla Łodzi problem sprowadza się nie tylko do odnowienia pomieszczeń i wymiany parku maszynowego. Tutaj rzecz dotyczy — z jednej strony — zmiany struktury przemysłu, a — z drugiej — przebudowy miasta i rozdzielenia przemysłu od dzielnic mieszkaniowych. Na Ziemi Łódzkiej problem sprowadza się natomiast do nasycenia przemysłem rejonów zaniedbanych, właściwego wykorzystania zasobów wody i struktury zatrudnienia. Wszystkie te czynniki razem powodują, że zainteresowanie opinii publicznej, obok niesłabnącego zainteresowania budownictwem mieszkaniowym, rozszerza się też na budownictwo przemysłowe.

Dotychczasowe zainteresowanie sprawami budownictwa mieszkaniowego, nacisk opinii społecznej i ogromne w tej dziedzinie potrzeby spowodowały ciągły postęp techniki i technologii. Jest to co prawda nadeżenie problematyczne, biorąc pod uwagę tysiące rodzin oczekujących na mieszkanie, ale jest ono niewątpliwie czynnikiem warunkującym postęp. Wyraża się on zarówno w projektowaniu, jak i w realizacji.

Inaczej sprawa wygląda w budownictwie prze-

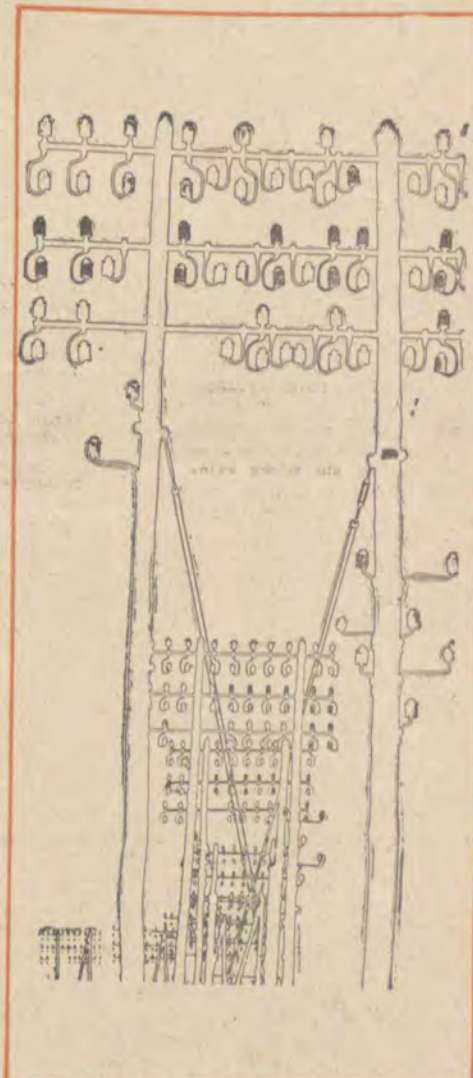
typową siatką podpór. Nie ma do swojej dyspozycji ani sprefabrykowanych elementów do budowy ścian działowych, przegród czy perforowanej obudowy dla montażu przewodów. Całą sieć przewodów umieszcza się w tunelach, zamiast puszczać ją górą hal, właśnie w oparciu o perforowane, lekkie elementy metalowe. Dzięki temu wszystkiemu w budownictwie przemysłowym na metr sześcienny zużywa się kilkakrotnie więcej cegły niż w budownictwie mieszkaniowym. Zdarzają się i takie paradoksalne sytuacje, że w biurach stawia się ściany działowe grubsze i trwalsze niż w budownictwie mieszkaniowym, a przecież potrzeby biur są w tej dziedzinie zupełnie inne.

„Wojewódzkie rady narodowe — stwierdza Uchwała II Plenum KC PZPR — powinny otrzymać od Komisji Planowania globalne limity inwestycyjne dotyczące zakresu ich działalności z wydzieleniem jedynie nakładów na budownictwo mieszkaniowe i rozwój rolnictwa. W ramach tych limitów rady narodowe opracować powinny koncepcję planu, kierując się własnym rozezaniem i wytycznymi polityki gospodarczej państwa”.

Działalność koordynacyjna rad narodowych otrzymuje więc nowe podstawy. Rada narodowa będzie mogła nie tylko postulować wspólne inwestycje, ale jako generalny inwestor w szeregu poczynaniach sama je wykonywać. Ma ona otrzymywać dokładne informacje o wszelkich zamierzeniach inwestycyjnych z wszystkich dziedzin gospodarki.

Dla Łodzi i województwa sprawa nabiera jednak innego jeszcze znaczenia. Przygotowane programy modernizacji i rekonstrukcji poszczególnych dziedzin przemysłu lekkiego powodują potrzebę przygotowania się przedsiębiorstw budowlanych do stopniowego wykonania tych zamierzeń. W takiej sytuacji warto zadać następujące pytania:

— Czy w przygotowaniach do wykonania tak bogatego programu inwestycyjnego nie należy wziąć pod uwagę potrzeby powierzenia jednemu ze zjednoczeń funkcji koordynacyjnych



wiek tańczy na linie, toczy się chwytliwie, balansuje, omal nie wywali interesu. Toczy blednym wzrokiem po odpuściwach, ochryplym szepceniem mamle słowa zachęty, niedomogi głosowe nadrabia ruchem ciała, rąk i wchodzi w tłum, chwytając za ramię, przykłada rękę gościa do drążka i popycha, niewoli nachalnie do gry.

— Panie, jak taka młoda siksa męską rękę poczuje, to zakręci, ja to panu mówię. Nie, nie chce zabierać tego kramu do chalupy! Niech wygrawają! Już piętnaście lat tłukę się po odpuściwach, już głos straciłem, alem w te i we te obkoczyli województwo! Córka mi pomaga, płuca jej wysiadają, zawodu nie ma... A ja tyż robotnik majowy, o widzisz pan, paluchów ni ma — pokazuje dłoń bez kciu ka. — Ano, z tego się żyje, aby zimno bidula wjeżdża pod kapote...

Gra toczy się dalej. Ktoś wygrał, a wtedy krzyk, stary wpada w chropawy fałset, to już niemal Armstrong!

— U mnie jest! U mnie to wielkie kocisko!

— Aaaaa! Albo kocica!

To „aaaa” jest straszliwe, chrypiące, parabola skowytu, pełnego zachęty, nuty triumfu i balwochwalczego jęku, przerażającego się w okrzyk mordowanego z telewizyjnej „Kobry”! Tu idą ludzie, tu wysiada champion z kreczą węża hiszpańskiego. Ta szczerokość starego jest obudna. Zabierze glinę do chaty, gdyż nieczęste wygrane; krągły piedestał z gliną kolorową zmyślnie ustawiony, spaczony nieźle; tu już szarym świtem, przed ludzkim okiem, odchodzą ustawiania, dziesięciokrotne próby, czy aby za często nie staje piórko na wygranym, na czerwonym!

S kwarne popołudnie wisi nad rzędnym gwarem. Stoją kramy nabrzmiałe gamą barw, owymi trąbeczkami, pukawami, różniami obwarzanków, wiatracz-

kami, tandetną uludą. Tylko dzieci wpatrzono, wahające się nad wyborem kupna. Drzemie stary dziadus nad loteryjką, kółka ze szkłem bez frekwencji, brak sugestywnej reklamy. Jeszcze długa kolejka u dwóch czarowników w zasmolonych marynarach: pochyle ni nad blaszanym korytkiem, jeden kręci skrzypliwą korbką, drugi kręci paterkiem, na który nawija się słodka wata. Park rżgowski przeżywa za to renesans odwiedzinowy! Watahy odpustowiczów zaległy każdy skrawek trawki. W cieniu migają butelczyny, jakaś zakrochmalona dziewczynka wierzci w uchu kompana; gdzieś rozłożonemu krzyżem leją w usta apolliniński nektar; ratujemy się, bo trzeźwiejemy! Rosną kupy szkła, makulatury i złomu.

W drzwiach gospody bije w twarz stężony zaduch, na posadzce śliska maź, przewzaskujące się chóry głośną wędrownych muzy-

kantów, z których jeden zbiera datki do kapelusza. Piwiarka jeszcze wesola, choć godzinami, niby sikawkowa, macha dzwignią motopompy chmielowego bożyszcza i gasi, gasi pragnienia i jasność umysłów. Niech żyje pan prezes GS-u, on zaciera dłoń, połowę dochodowego planu odwali dziś go spoda! Słońce złotą koroną ślizga się po dachach i zjeżdża w dół ulicy Pabianickiej. Pustoszeją kramy, znikają w pudłach niewygrane „wygrane”, karuzela w dłuższych postojach; harmonista wlecze instrument po bruku, a niedźwiedz od fotografa przechodzi na cztery łapy, czerwony sandał telepie mu się na pasku u jednej kończyny. Odpustowa gawiedz pcha się do wnętrza długachnej, barakowej rezydencji strażackiej. Przybytek nie mieści chętnych, z wywartych okien wali się dreszcz perkusyjnych

palek, kurz wierzci nozdrza, kwaśny odór potu chlasta w twarze.

Mrok pełnie ulicą, parkowymi alejkami, z braku wiadomości przy bytku gnije stateczna wspinalnica strażacka, pary rozgrzane duchotą i alkoholem, przenamiętnie objęte wiodą się deptakowym szlakiem, przez stalowy most nad nitką Neru. Za cementarz, za rżgowskie stodoły, gdzie urywa się małomiasteczkowość, gdzie wilgotne ściany młodych żył. Takim mocnym akcentem kończy się odpustowa niedziela. Targnęła kimającym życiem osady, przypomniała dawne czasy; Rżgów utrzymał, choć przez jeden dzień, swe miejskie tradycje; jeszcze raz wznosił się na piedestał parafialnej metropolii. Teraz aby do Sw. Rocha, do nowego odpustu...

RYSZARD BINKOWSKI



# KRÓLOWA CYPRU

Zaterkotał dzwonek, ale to nie był pan malarz. Po minie mamusi poznałam, że nie cieszy się z przyjazdu cioci Izy. Po raz pierwszy nie przywoziła ciocia ciastek z Warszawy, ale za to dostałam książkę *Mały lord*, a mamusia szal, taki przezroczyści, co się nosi do teatru. Śliczny, białuśki jak welon, tylko w jednym miejscu, w samym koniuszku ktoś w nim wypalił okrągłą dziurkę. „To jest szal luksemburski” — pouczyła nas ciocia — z gumoledwabiu”.

Ciocia przyjechała, żeby obgadać z panem, co robi klej-cement i lepy na muchy sprzedanie swego domku na Zarzewie. Dawniej mówiła, że jedzie za granicę na krótko. Teraz tak jakby już na zawsze. Pawła zabiera ze sobą. Tylko wujka i Gutbaja zostawia. No i dom, bo domów nie zabiera się za granicę. Pan lepiarz chce go kupić, ale bez wujka, bo go nie zna. Dom mu ciocia pokazała, a wujka nie. Ale będzie dla wujka niespodzianka.

Pan malarz wrócił, ale cioci Izie nie podoba się kolor. Powiedziała, że w Kier nozi tak chałupy białe.

— Czy pan nie umie dawać deseni? Piękny widziałam deseń u mojej dobrej znajomej mecenasowej. Siatka pajęcza, a zamiast pajaka złote astry. U mojego znajomego dyrektora, też malował wielki fachowiec, najlepszy warszawski. On znowu dał georginie i tulipany. Bajka! Oczu nie można oderwać!

— Broń Boże! Żadnych kwiatów! Absolutnie żadnych! — sprzeciwiła się mamusia — Żadnej siatki! Ładne pastelowe tło. To modne i ładne. U jednego literata tak jest. I jeszcze szable na to pozawieszal — mówiła mamusia głośno, żeby pan profesor dobrze słyszał.

— Jaką panie zaordynują konwencję — powiedział pan malarz — to mnie bez różnicy. Ja mam czas...

Już mi się znudziło malowanie. Nie mam się gdzie bawić i żadna koleżanka nie może do mnie przyjść, bo straszny bałagan. Dobrze, że tatuś nie ma. Tatuś by trul, bo lubi, kiedy wszystko jest na swoim miejscu.

Pan profesor nie zna tatuśka i pewnie nie chce go poznać, bo powiedział, że zachoruje, weźmie od lekarza zwolnienie z ucznia w szkole i nim tatuś wróci, mieszkanie będzie fertig. Nawet gdybym nie wiedziała, że pan malarz jest nauczycielem, domyśliłabym się, bo umie ślicznie opowiadać. Mamusia dała jemu i cioci Izie „cherry”, a Władkowi i Kazikowi mleko. A ten pan za to opowiedział mamusi i nam jak to przed wojną nie umiał jeszcze malować, tylko pasał. A tam, gdzie pasał, była jedna dziewczeczka, która umiała lepić, bo była nie tylko dziewczeczką ale i artystką od lepienia. Raz miał przyjechać do kościoła we wsi, w której ona mieszkała, biskup. Dziedziczki to były takie wiejskie wsiory, tylko bogate. Pani dziedziczka pozrywała wtedy w swoim ogrodzie najładniejsze kwiaty i zaniosła do kościoła, żeby wygładzić ładnie wyglądał. Ale nie wyglądał ładnie, bo na ołtarzu było mało świętych. A tu krzyk, że już biskup jedzie. Poleciała szybko dziedziczka do swojego domu i chciała świętych dolepić. Ale u niej w domu jak raz nie było gliny, tylko jej pomoc domowa robiła ciasto. Wzięła dziedziczka ciasto i szybko ulepiła świętego Floriana i świętego Michała i zaraz pomalowała ich farbą. Biskupowi bardzo się święci podobali i ludziom też, ale jak msza się już miała kończyć, zrobiła się w kościele rozróżba. Jedni ludzie zaczęli się głośno modlić, że to cud i płakać, a inni pchali się do ołtarza, żeby lepiej tę drakę widzieć. Święty Michał w czasie mszy stał się taki wielki, że głowa sięgała do największej świecy, a święty Florian zrobił się gruby jak bania i bardzo brzydki. A to nie był jakiś tam wielki cud, tylko w cieście były drożdże.

Ciocia Iza trzymała się za brzuch, żeby jej nie pękł od śmiechu.

Chłopcy wymalowali już pięknie ściany. Ciocia Iza pociągnęła ręką po ścianie wymalowanej wczoraj. Wtedy spod perłowej farby wyskoczyły czerwone kropki, jak od ospy.

— To przez złą jakość syntetycznych barwników! — Pod Bogiem! — pan malarz trzepnął pięścią w swój dyndający krawat — Oni... kurdebalans, porządne farby eksportują! Ale nie! Od kumpla z budowy wezmę jutro barwnik, że buzi dać!

Mamusia była biała i nic się nie odzywała.

— Oni guzik wysyłają! Zagranica nie takie frajery, żeby od nas kupować! Pan jako fachowiec powinien wiedzieć, że kiedy się chce mieć mieszkanie types-łopes obmalowane, to się kupuje angielskie farby! Ich farby to dopiero farby! Dyrektor Mądryński...

Mamusia przerwała cioci:

— Głowa mi pęka. Mój może laść godziną wrócić, a ty mi tu ciągle z jakimś Mądryńskim wyjeżdżasz! Podkusiło mnie coś z tym malowaniem!

— Niech się szanowna pani nie denerwuje! Zebym miał na pysk upaść, jutro wyeliminujemy braki!

Kiedy pan malarz z Kazikiem i Władkiem poszli, mamusia bardzo brzydki się o nim wyrażała. Na ciocię też była zła, chociaż ciocia nie jest malarzem.

sem podobnym do głosu naszej pani kierowniczką, tylko nie takim babskim, powiedział wskazując palcem na mnie:

— Wejź, a wy poczekajcie!

Nogi się pode mną zatrzęsły.

— Co Zocha zrobiła z zegarkiem? Dała komu? Zgubiła? Może jakiś chuligan jej ściągnął?

— Nie wiem, proszę pana.

— Przypomnij sobie! Kiedy ostatni raz widziałaś u niej zegarek na ręce? Jeśli nie powiesz, pójdę do szkoły, nauczycielka z tobą pogada!

— Czasem się, proszę pana, różne rzeczy gubią...

— Więc zgubiła?! Siądź na tapczanie.

Poprosił Ewkę i Iwonę.

— Wiecie, że Zocha zgubiła zegarek? Skinęły głowami.

— Ale gdzie? W szkole? Na skwerze? Mówcie, to bardzo ważne.

— Może w szkole... — powiedziała Ewka.

— Ładne są teraz szkoły! Nauczycielka wie?

MARIA H. LIZIŃCZYK

## Nasze dokonania

Na naszych drogach krzyżowych

nie czeka Cyrenejczyk

Bo też upadki nasze — uginanie kolan.

Oderwanie czoła od ziemi

to był gest zwycięstwa,

a powrót nóg do pionu — cóż to za odnowa?

Na naszych drogach krzyżowych

nie zostanie twarz w Weroniki chuście.

Jakże tak, bez krwi i bez potu?

Zrównały wartość swą grymas i uśmiech,

a kto by wglądał z bliska

w bryłę, w której się dusza (piękna ponoć)

nie chciała odcisnąć.

Na naszych drogach krzyżowych

nie stanie drzewo święte

Niewygodnie wstępować tak wysoko,

kiedy się na siedząco przywykło umierać.

Czy nie śmiesznie wyciąganie ramion w niebo,

jeśli się ofiarę spełnić ma tylko za siebie?

Na naszych drogach krzyżowych

o godzinie trzeciej nikt nie osłupieje

A jeśli idzie o „gorzkie żale” po nas

zamieszczą je, proszę Państwa,

obok reklamy margaryny mlecznej:

„Wszystkim, którzy wzięli udział

dziękują serdecznie

Matka, Siostra, Brat. Ojciec. I Żona.

Jednym słowem Rodzina

w „rozpaczy pograżona”

Rodzina „w żalu nieutulona”.

I nagroda w Turnieju Jednego Wiersza zorganizowanym przez Radę Uczelnianą ZSP przy Uniwersytecie Łódzkim.

— W głowie ci się przewróciło! Jeszcze będziesz gorzko żałowała! — wyzywała na nią. — Męża rzucić i jechać za granicę dla jakiegoś obywatela.

— Takich ómków jak Zygmunta — odpowiedziała ciocia mogąc mieć na tuzi! Raz się żyje! Poznał świat! Ludzi! Fransua ma super ekstra samochód. Tam się co dwa lata kupuje nowe samochody. Wiesz? I wreszcie nie będę musiała obliczać się z groszem. Matka mi wszystko...

Zadzzwonił tato Zochy, że Zocha nie znalazła zegarka i żebym koniecznie jutro po szkole do niej przysłała, bo ona bardzo prosi. Kiedy to mówił, mama Zochy mu przerywała i tak jakby mnie odpraszala i wychodziło, że Zocha nie tak znowu bardzo prosi. Trochę klócił się z sobą przy telefonie.

Po lekcjach poszłam z Iwoną i Ewką do Zochy, bo one też zostały zaproszone. Iwona myślała, że urodziny Zochy, więc miała dla niej ptasie mleczko. Ja nic nie myślałam, więc nie miałam prezentu. Mamie Ewy pewnie zabrakło pieniędzy na prezent, bo widziałam, jak na rysunkach Ewa wycierała gumką starą książkę z wierszykami dla przedszkolaków *Kwiatki Małgorzatkę*.

Nie zdążyłyśmy nawet zdjąć płaszczy, a już wychylił się z pokoju jej tato i głó-

Ewka chciała jeszcze coś powiedzieć, ale tato Zochy już pytał Iwonę.

— A tobie zwierzyła się, gdzie go zgubiła?

— Jakby Zosia, proszę pana, wiedziała, gdzie zgubiła, to by tam poszła i znalazła — powiedziała Iwona. — Najlepiej, proszę pana, niech pan zapyta milicję. Milicja wszystko wie i na pewno go znajdzie.

Ojciec Zochy powiedział, że nie potrzebuje naszych rad, sam wie, kogo ma pytać, i że go nie nie obchodzi, a zegarek się musi znaleźć.

Zawołał Zochę z kuchni. Nawet nie spojrzała na nas. A on caps za pas! Dałyśmy w nogi, więc nie wiemy, czy zbil ją mocno.

— Taka podpytywanka to jest śledztwo. W filmie detektyw albo komisarz po cywilnemu zawsze tak oddzielnie pyta — pouczała nas Iwona, i wyjechała z tornistra ptasie mleczko. Opychałyśmy się nim, bo dobre.

Już jest u nas pomalowane i niektóre kawałki ściany nie są mokrego koloru, tylko suche.

Pani dozorczyńni w całym domu naplotkowała, że nie mieliśmy pieniędzy na dokończenie malowania i dlatego ścia-

ny są bez desenia. Pani Zeltobriuchow jak się o tym dowiedziała, chciała mamusi pożyczyc pieniądze.

Ciocia Iza wróciła z załatwienia na mieście i też wydziwiała:

— Gdybyś się mnie posłuchała, miałaś mieszkanie jak bombonierka! Ty myślisz, że Mądryński to taki sobie pierwszy lepszy dyrektorzyzna?! On jest z tych przedwojennych Mądryńskich. Tych, co to wiesz... Już lepszego gustu jak on ma, nie potrzeba! A wiesz jaki ma gabinet? Elektryk w fiolki! — ciocia Iza patrzy na nasze wnętrza nie absorbujące i wykrzywia usta jakby jadła cytrynę. — Między Bogiem a prawdą to jednak wygląda jak obielone.

Mamusia przecierała krysztaly w kredensie, więc musiała uważać, by ich nie potłuc, dlatego tylko raz odezwała się:

— A na przyszły rok zaangażuję neoplastykę i każę wymalować neoplastycznie. W Muzeum Sztuki jest cała sala neoplastyczna. Bardzo gustowna. I stoją tam gipsy Kodro.

— Nie przypominaj mi nawet — powiedziała ciocia — z tą koldrą to jest istny skandal! — usiadła na fotelu przy telefonie i zaczęła jednej pani opowiadać, jaki był istny skandal z koldrą, którą obstałowała na wyjazd, a potem z drugą panią zaczęła się żegnać, bo żegnianie z Warszawy ciocię kosztuje sześćdziesiąt groszy, a z naszego telefonu nie nie kosztuje. Bardzo mi żal, że wujek Zygmunta, choć ciocia z nim tylko żyje na łapie, nie będzie naszym wujkiem, lecz że będzie naszym wujkiem wujek zagraniczny i Paweł będzie miał za tatę tego wujka z zagranicy. Ciocia nazwała wujka wariatem i powiedziała do jednej pani, że wujek to litery. Powiedziała nawet, ile liter, ale nie zapamiętałam. Wujkowie zagraniczni też są fajni. Grażynie jej wujek przysłał lalki, które mówią, i kolorowe widokówki.

Zatelefonował szewc i ciocia poszła do niego po buty. Jedne zrobił jej z węża, a drugie ze skóry.

— Czy ten Fransua, przyszły wujek od cioci Izy jest imperialistą? Bo za granicą jest bardzo dużo imperialistów i pani mówiła, że oni urządzili wojny w Wietnamie i na Ziemi Świętej a jak jakiej wojny sami nie umieją zrobić, to do niej podlegają.

— Błagam, chociaż ty mi daj spokój! Ta twoja ciotka... Ach, głowa puchnie... Tu malowanie! Tu ta trajkocze jak kołowrotek... A rozmów starszych nie podśluchuj! To nieładnie!

— A pamięta mamusia, jak ciocia była u nas w Bukowinie i spała na materacu z powietrza? A pamięta mamusia, jak ciocia poleciała pod pocztę, kiedy przyjechało niebieskie auto zagraniczne, bo myślała, że mają coś na sprzedaż. Ludzie rechotali, bo ciocia zapomniała, że chciała sobie przedtem pupę opalić i miała tak podwinęte majteczki, że pupę miała na wierzchu? Jak ktoś ma taką strasznie grubą pupę jak ciocia, to nie powinien tak, prawda, bo to niemodne?

— Weź się już do odrabiania lekcji.

Już pan cykliniarz skończył cyklonowanie przedpokoju. Czyściutko u nas jak na święta. Pan malarz w starych domowych pantoflach tatuśka chodzi po mieszkaniu i przygląda się swojemu malowaniu. Podoba mu się bo jest uśmiechnięty. Ciocia Iza zauważyła wysoko nad oknem małą plamę. Mamusi ta plama się podobala i nie pozwałała panu malarzowi jej zamalowywać. Ale pan malarz uparł się. Powiedział, żeby nie mógł spokojnie spać, bo by mu się ciągle to plamisko śniło, więc przytachał z korytarza wiadro, wszedł na okna i tak po maleńku, żeby ani jedna kropelka nie spadła pociągnął pędzlem po plamie. Szy by nie zapackał, tylko jak schodził z taboretu pośliznął się — to przez to, że podłoga wyfroterowana — i bęc. W jednej ręce trzymał pędzel, w drugiej puste wiadro, bo farba wylała się na podłogę. Trochę farby wylało się na tapczan, a najwięcej na biurko tatuśka. Śmiać mi się chce, bo pędzel przypomniał teraz najeżone włosy po kąpiel. Ale nie uśmiechnęłam się, bo to nieładnie: pan malarz leży bez ruchu, jak umarły, a mamusia siedzi w fotelu i pije zimną wodę. Pobiegłam do sypialni i pociągnęłam w bok zasłone przy oknie, żeby jak się podnieśnie nie zauważył tej krechy, co się zrobiła, gdy mamusia z ciocią zakładały ramę.

Tatuś akurat wrócił, jak gaska Balbinka wybierała się z Pyslem na plotki. Ta gaska jest niemądra. Nie wiedziała, że plotki to nie plotki, tylko takie ryby. Już nie ma śladu ani pana malarza, ani pana cykliniarza, biurko wyczyszczone politurą, tapczan nakryty narzutą i przez to wcale nie widać plamy po farbie.

Tatuś przywitał się z nami i nic. Wcale nie zauważył, że u nas tak ślicznie. Tylko pociągnął nosem i mówił, że w Gdyni jest bardzo dobre powietrze, a tu w Łodzi zle i nawet w mieszkaniu czuje się fabryczne chemikalia i wilgoć.

(Fragment powieści pt. „Królowa Cypru”)



**ŁUDZIE  
XXV-lecia**



# Jerzy Putrament

Twórczość Jerzego Putramenta zajmuje szczególne miejsce w literaturze polskiej. W dorobku tego autora znajdujemy wiersze, nowele, powieści, reportaż, felietony, artykuły, a nawet rozprawę krytyczną. Ich lektura daje wiele satysfakcji zarówno czytelnikowi prostemu, co intelektualście, czy konserwatorowi.

Jerzy Putrament jest realistą, ale trudno by wiązać ściśle jego twórczość z tradycją, z określoną tradycją literacką. Jak można to uczynić bez trudności w przypadku Zukrowskiego, czy Pruszyńskiego. Z drugiej strony opiera się on działaniu mody literackiej. Środki wyrazu podporządkowane są u Putramenta w sposób funkcjonalny treści dzieła, jego rytmowi i wizji autora.

Putrament-prozak wiele zawdzięcza Putramentowi-poezie, choć o swym dorobku poetyckim wypowiadał się swego czasu dość sceptycznie. Wydaje się jednak, że praktyka poetycka nauczyła go precyzyjnego konstruowania wizji, dyscypliny słowa, znakomitego posługiwania się groteską. Myślę też, że z praktyki poetyckiej można wywodzić wrażliwość Jerzego Putramenta, szczególnie na urok przyrody.

Putrament operuje zazwyczaj zdaniami krótkimi i obrazowymi. Rytm jego prozy zmienia się gwałtownie, gdy pisarz rysuje zawilgość psychologiczną bohaterów, gdy przechodzi do opisów przyrody, albo w partiach refleksyjnych. Szczęśliwie unika jednak przesady partii refleksyjnych, dzięki czemu nie można mu zarzucić tendencji do rozbudowanego dydaktyzmu. Czytelnik jest przez niego traktowany poważnie, w tym sensie, że zostaje włączony nie jako w proces tworzenia dzieła, jest w pewnym sensie jego współtwórcą. Logika wizji literackiej Putramenta sprawia, że

nie zostawia on czytelnikowi bynajmniej możliwości różnych interpretacji prezentowanej rzeczywistości. Jest to oczywiście konsekwencja faktu, że mamy do czynienia z pisarzem politycznym, oddanym określonej sprawie. Wspomniane wyżej cechy dzieła Jerzego Putramenta stawiają go w kręgu najwybitniejszych pisarzy współczesnych.

Twórczość powieściowa Jerzego Putramenta zaczyna się od wydanej w 1947 roku „Rzeczywistości”. Jest to powieść polityczna, z kluczem, w której autor sięgnął do wydarzeń historycznych. Nie przeszkodziło mu to w subtelny zarysowaniu tła społecznego-obyczajowego, czy ukazaniu psychologicznych motywów postępowania bohaterów powieści. Poszczególne postaci tej powieści są silnie zindywidualizowane. Ale już na kartkach „Rzeczywistości” zaczyna się walka o — nazwijmy to „nowoczesnego Polaka”, czyli walka o nową, rodzącą się w walce epokę.

Pomiędzy tu postacią negatywną, ludzi władzy, zajmijmy się jednym tylko bohaterem pozytywnym „Rzeczywistości” — Szulcem. Szulce jako bardzo młody chłopiec dokonał wyboru, opowiedział się po stronie rewolucji, tych sił, do których będzie należała przyszłość, sił działających zgodnie z prawami rozwoju historycznego. Ale Szulce mimo wielu zalet pozostał indywidualistą, działa on niby w gromadzie, ale w pojedynkę, wydawało mu się, że sam dziła wiele za innych i dla innych. I to go zgubiło. Zbyt wybujały indywidualizm zaprowadził go na skraj przepaści. W konsekwencji wrogowie łatwiej było rozprawić się z Szulcem właśnie dlatego, że w pewnej chwili przecenił on własne siły. Przepłacił to życiem.

Od tej postaci zaczyna się ciąg, cała galeria typów, których autor obdarza wadami narodowymi i ukazuje konsekwencje trwania w określonej postawie, bez liczenia się z warunkami historycznymi w jakich wypadło im żyć. Myliliby się kto by sądził, że trafi na stereotyp, na jakiś jeden schemat powielany i przetwarzany. Bynajmniej. Śięgniemy do „Września”. Oglądamy tłumy rządzących i rządzących, „czarnych”, i „białych”, czy może raczej „czerwonych” i „białych”. Każda z postaci owych „białych”, jest inna. Mamy tu groteskowego Burdę i mądrego, ale podłego Becka, mamy wreszcie ogromną galerię wojskowych, którzy w tych warunkach wyszli na pierwszy plan. Co ich gubi, co jest w nich wszystkim najgorsze?

Jeśli pominiemy zasadniczy fakt, zasadniczy motyw ich działania — interes klasowy i zaczniemy analizować charakterystykę poszczególnych postaci cóż nam się ujawni? Przede wszystkim wybujały indywidualizm, indywidualizm zmilitaryzowany. Jeden przywołuje na pamięć Piłsudskiego i wydaje mu się, że jest to właśnie postać, w którą winien być wcielony bez reszty — on — mąż stanu i głupi tłum, który go nie rozumie. Pocięciem jest fakt, że tamten też był samotny i... jakoś tam było. Drugi mający nad Wisłą i przywołuje na pamięć ks. Józefa Poniatowskiego. Przykłady można by mnożyć.

A inne cechy w jakie wyposażał autor całą galerię typów? Brak szacunku dla podwładnych, beznamiętność, zamiłowanie do improwizacji, pogarda dla faktów, hurraoptymizm (Anglicy i Francuzi pomogą nam wygrać wojnę), wreszcie egoizm i przywata możnych.

Nie pomogły nam doświadczenia przeszłości, upadła Rzecz-

pospolita szlachecka, błądę przeszłości powtórzyli władcy Polski sanacyjnej. Dlatego też Putrament obnażał te cechy z taką pasją, wyolbrzymił je do rozmiarów groteski, czy karykatury.

Podobnie rzecz przedstawia się w „Rozstajach”. Z podobnej gliny, co bohaterowie „Września” ulepiony jest Tu-roń. A inni bohaterowie tej powieści? Czyż wielu z nich, choć w nowych warunkach — nie nosi podobnych cech, co tamci, z „Września”? Równie groteskowo „polski” jest i Jan Pocięj z „Pasierbów”.

Przypomnijmy wreszcie „Mało wiernych”. Tu już nie znajdziemy znaczących postaci, które by beznamiętnie przeżywały jeszcze jeden dzień, czy poddawały się biegowi wypadków, jak ci z „Września”. Oni działają świadomie, mają przed sobą wytyczone cele, działają we wspólnocie z masami, które budują nową przyszłość. I tu sytuacja nieco się zmienia. Autor zaczyna atakować bohaterów powieści za brak charakterów. W książce tej nie znajdziemy ani jednej postaci tak śmiesznej, takiej kreatury, jak Burda, czy Rabcież. Jeśli już, to karłowatych, ludzi zdemoralizowanych w walce o władzę, którą pragną wykorzystywać do własnych celów. Czyżby więc Putrament zrezygnował z prowadzonej konsekwentnie walki z naszymi najgorszymi cechami narodowymi?

Nie, nie zrezygnował. Tylko w nowych warunkach historycznych cechy te mają znaczenie drugorzędne. Ligeza, nawet on, człowiek obdarzony nieprzeciętną świadomością daje się w pewnym momencie poznać, jako nieco wybujały indywidualista. Postacią w której skumulowały się przywary przeszłości jest Paskiewicz, a może bardziej jego mocodawca Nieć. Paskiewicz jest w gruncie rzeczy przegrany na skutek beznamiętności, Nieć to karykatura, której prototypu można by szukać we „Wrześniu”. Jego postawa prowadzi go do zbrodni, po której następuje coś gorszego, niż śmierć fizyczna.

Ogromny wysiłek pisarza, wszystkie jego zdolności i siła wyrazu jego dzieł, podporządkowane są więc przeorywaniu świadomości współczesnego Polaka. Putrament stara się odciąć go od tych najgorszych tradycji, jakie wyniósł z przeszłości, od tego wszystkiego, co zaciążyło w sposób tragiczny na naszej historii. Jako pisarz polityczny ukazuje on nam całe zło, jakie kształtowało naszą świadomość i uczy szacunku dla człowieka.

„Wrześni” to powieść o przy-czynach klęski, ukazująca ogrom tej klęski, ale jest to zarazem powieść afirmująca lud. Szkoda, tylko, że postaci komunistów zostały tu narysowane niezbyt przekonująco. W partiach dialogowych odnosi się niekiedy wrażenie, jakby ci ludzie nie rozmawiali z sobą, a przemawiali do siebie. Stosunkowo najlepiej wypadła ta część powieści, w której autor opisuje atak Walczaka na gniazdo nieprzyjacielskiego ckm-u, czy ten fragment, w którym Krygier bierze udział w walce na warszawskiej barykadzie.

Wyżej powiedziano, że autor uczy nas szacunku dla człowieka, uczy szacunku dla mas, ukazuje ich siłę. We „Wrześniu”

lud chce rozprawy z wrogiem, garnie się do walki. Jego siła ujawnia się w końcowej fazie walki, gdy już ci, którzy mieli nią kierować — uciekli. Wtedy to robotnicy organizują się w oddziały, często skąpo wyposażone w broń. Masy, choć pozbawione wojskowego kierownictwa, potrafią walczyć, potrafią zwyciężać, potrafią kierować walką same.

Ukazanie tych fragmentów z ogromną ekspresją sprawia, że „Wrześni”, książka o klęsce narodu, nie kończy się tragicznie. Bowiem fakt, iż masy zdolne są do walki z wrogiem napawa większym optymizmem, niż mrzonki o pomocy zagranicznej.

I ten element wiary w masy, w ich siłę i mądrość jest elementem dominującym w całej twórczości Jerzego Putramenta. W „Rzeczywistości” zostało to zarysowane ostro, choć fragmentarycznie, we „Wrześniu” znajdujemy kontynuację tej idei, podobnie w „Rozstajach” i innych książkach, aż po „Mało wiernych”. Ten element wiary doświadczenia autora decyduje przecież o kształcie całej jego twórczości.

Jerzy Putrament jest pisarzem politycznym, w pełni zaangażowanym, szybko reagującym na wydarzenia o wadze historycznej. Ujawnia się to również w chętnie przez niego podejmowanej działalności publicystycznej. Towarzyszy ona jego poczynaniom pisarskim od czasów młodości. Często doświadczenia publicysty wykorzystuje on w pracy czysto literackiej, jego publicystyka jest tym bar-dziej interesująca, tym celniejsza, że autor posługuje się doświadczeniem wynikającym z faktu, że jest pisarzem. W publicystyce towarzyszy on wiersi najbardziej ważkim wydarzeniom w skali nie tylko kraju, lecz także świata. W „Od Wołgi do Wisły” znajdujemy obraz zmagania wojennych. W „Notatniku chińskim” znajdziemy obraz przemian, jakie przyniosła temu wielkiemu krajowi rewolucja. Pamiętamy, jak wiele polemik przyniosły „Dwa lityki Ameryki”. Zasiłoga autora było nie tylko ukazanie nam Ameryki, lecz także odkłamanie poglądów o tym kraju, jakie wbił nam do głów schematycyści w okresie kultu jednostki. Przy okazji publikacji tych reportaży, autor rozprawił się również z obskurantami, jak i schematystami.

Ukoronowaniem owego „towa-rzyszenia historii” zarówno w twórczości literackiej, jak i publicystycznej są wspomnienia, których druk autor kontynuuje po dziś dzień. Przy czym należy podkreślić, że opisywane tu wydarzenia autor traktuje bardzo osobliście i wybiera te zjawiska, które go najbardziej zainteresowały, bez względu na ich wagę. Autor nie liczy się z żadnymi „świętościami”, wkłada w te wspomnienia nie tylko wiele temperamentu, lecz traktuje wiele poważnych wydarzeń z humorem, niekiedy doprowadzonym do groteski. To właśnie sprawia, że wspomnienia te czytają się z równym zainteresowaniem co powieści. Zwłaszcza, że na kartach tomów „Pół wieku” znajdujemy całą galerię ludzi znanych i wiele osobistości o światowym niekiedy rozgłosie.

Na szczególną uwagę zasługują nowele Jerzego Putramenta. Tutaj podobnie, jak w twórczości powieściowej Putramen-

ta akcja bywa osadzona na tle konkretnych wydarzeń historycznych. Autor stara się doprowadzić czytelnika do określonych prawd historycznych poprzez losy bohaterów tych utworów. Nie przeszkadza mu w tym ograniczenie, które narzuca posługiwania się tzw. „małymi formami”. Na tym terenie Putrament okazuje się mistrzem kondensacji słowa.

Warto zwrócić również szczególną uwagę na jeszcze jeden walor prozy Jerzego Putramenta — na postać kobiecą w jego prozie. Potrafi on rysować je subtelnie, z czułością, jak choćby postać Marysi — narzeczonej Szulca, czy może bardziej jeszcze wyraźniej postać Hanny z „Odyńca”. Często też poprzez postaci kobiece stara się wydobyć pewne rysy charakterów mężczyzn. Można to łatwo dostrzec jeśli zestawimy dla przykładu choćby kilka par: Burdę i Scarlett, Firstównę i Rabcieża, Helenę, czy Leokadię i Ligęzę, Emmę Kranic i Michała, czy wreszcie Lichtnerów.

Znakomicie wydobywa on też cechy babusów, które można by nazwać „ciotkami historii” — Gaysze-Tarnobrzeńska, Motyczyna, Curkowska. Autor lekkimi pociągnięciami pióra rysuje zna-komite karykatury. Te typy są niezniszczalne, ich głupoty, a zarazem złośliwości, braku skrupułów nie są w stanie zniszczyć wojny, ani rewolucje — przetrwają wszystko i odczytają zaw sze, tak jak będą odczytywały w pamięci wrażliwego czytelnika, którego tylko rozśmieszają, nie-klędy do łez.

Szczególną cechą prozy Jerzego Putramenta, jest jego specyficzny stosunek do krajoznawstwa, do natury. W całej niemal twórczości pozostaje on wierny krajoznawstwu północny, krajoznaw-stwo dzieciństwa, w których formowała się jego wrażliwość na zjawiska przyrody. Choć autor porusza się z wielką swobodą w krajoznawstwie egzotycznym nawet, stara się być wierny temu co ukochoł najbardziej i trwałe. Autor wielokrotnie prowadzi swych bohaterów powieściowych nie gdzie indziej, tylko właśnie na Mazury. „Wakacje”, „Trzynasty z Wesołka”, „Arkadia”... czyż trzeba wymienić wszystkie tytuły, których akcje autor umiejscowił w krajoznawstwie północnym? Jedno godne jest niekłamane podziwu: autor nigdy nie powtarza się w opisie natury, zawsze wydobywa coś, co w sposób oryginalny odkrywa przed nami walory poetyckie krajoznawstwa, natury.

Jest więc Putrament pisarzem wszechstronnym. Znajdujemy w jego twórczości powieść polityczną, nie pozbawioną uroków poetyckich, pasję socjologiczną łączącą z subtelny rysunkiem psychologicznym swych powieściowych bohaterów, nie pozostaje obojętny na urok przyrody, okazuje się subtelny lirycznym w rysowaniu scen miłosnych. Pisarstwo jego podporządkowane konsekwentnie idei nadrzędnej służy jej znakomicie. Jest to proza o wielu perspektywach, podporządkowana całkowicie sprawom najważniejszym naszego narodu, tym cenniejsza, że pozbawiona taniego dydaktyzmu. Jerzy Putrament włada naszą wyobraźnią, zaś myśl polityczną i moralną ujawnia się nam pośrednio, jest wynikiem odczytania wizji świata, jaką proponuje nam autor.

**IGNACY GUSTAW  
ROMANOWSKI**

## Wartość i kamuflaż

Mówi się, że nowy realizm w sztuce zdeprecjonował jej wartość wprowadzając na wystawy przedmioty codziennego użytku i rekwizyty banalne masowej kultury. Zarówno bowiem pop-art w Ameryce jak i jego europejski odpowiednik — „nowy realizm” stanowią — ogólnie rzecz biorąc — zaprzeczenie dotychczas obowiązujących pojęć estetycznych, według których dzieło sztuki miało być rzadziwym specjalnym, tylko na użytek sztuki stworzonym prawnem.

Dzieło pop-artu — to afirmacja tej najbardziej banalnej codzienności; przedmiotów używanych tak często, że nie zauważa się już ich kształtów, a także spowszechniałej reklamy przemysłowej i prasowej. Jest pop-art nobilitacją zwyczajności, „antyszuką”. W tym też znaczeniu pop-art rewolucjonizując estetykę, stworzył przedmioty nowe, ale jednocześnie niezwykłe trudne możliwości dalszego rozwoju.

Z doświadczeń tej rewolucji korzysta również wystawiający po raz pierwszy w Polsce, w Łódzkim Muzeum Sztuki, francuski przedstawiciel nowego realizmu — Alain Jacquet\*. Jest on współtwórcą specjalnego kierunku w nowej sztuce i autorem określenia „Mec Art” (Mechanical Art). Mimo młodego wieku, trzydziestoletni w tej chwili Jacquet ma już za sobą dziesięcioletnią konsekwentną i samodzielną drogę, bogatą zarówno w poszukiwania warsztatowe jak i filozoficzne. Zaczyna w 1961 roku od budowania kompozycji z pionowych obracających się walców, pokrytych kolorowymi formami zaczerpniętymi ze sztuki barokowej.

Ruchome walce pozwalają nieustannie zmieniać kompozycję, dzięki czemu nie miała ona nigdy kształtu ostatecznego, postaci końcowej. Potem Jacquet zamalowuje reprodukcje słynnych dzieł sztuki różnymi nie związanymi niczym z pierwotnym tematem formami. Tak dochodzi do kamuflażu — dzieł, które mied odąd będą poważane znaczenie dla dalszego charakteru jego twórczości. Wówczas to maluje kopie wielkiego obrazu Roya Liechtensteina — „Hot Dog” i następnie tnie ją na części, które, każda z osobna, tworzą już nową wartość.

Zafascynowanie kamuflażem doprowadza Jacqueta do pastiszu malarstwa historycznego, poprzez współczesne powtarzanie scen utrwalonych na znanych obrazach fotografowanie ich, a następnie rozkładanie tak uzyskanych obrazów na kolory podstawowe i formy uproszczone. Technika fotografii i poligrafii pozwala tworzyć wielkie serie tych samych tematów przy zastosowaniu jedynie odmiennych rastrów. Tak powstają „Śniadanie na trawie” wg Maneta, „Zródło” wg Ingresa,

tak powstaje „Porwanie Europy” i „Gabrielle d'Estree”. Współczesni modele zastępowane w pozach znanych z wielkich światowych muzeów; współczesna technika dokonuje profanacji prowadząc raz do zniekształcenia, innym razem do nieczytelności historycznych tematów.

Kamuflaż i pastisz prowadzi Jacqueta ku dalszemu rozwarstwianiu wymiennych wartości. Tworzy obrazy na rozwieszonych w przestrzeni płytach pleksi-glasu, z których każda pokryta jest jedynie jednym kolorem — dopiero odpowiednio ustawienie się widza względem tych jakby matryc umożliwi odczytanie tematu. Idąc w tym kierunku jeszcze dalej Jacquet tworzy „dzieła — efermerydy” i „dzieła — atrapy”. Pierwsze — to pokazane na Biennale w San Marino kompozycje dynamiczne, wydobywające się z szerokiego cokołu obraz „Hologram” — obraz uzyskany na płycie szklanej za pomocą lasera — trójwymiarowy i nie istniejący. Drugie — to pozory rzeczywistych przedmiotów; wystające ze ścian kablowe, które nie służą do niczego, kołczasty drut wykonany z miękkiego ołowiu, fontanna o zamkniętym obwodzie polewająca ścianę.

Tworzy atrapy imitujące płótno futowe, drewno, białe falista — będące jedynie drukami na tkaninie i papierze. Z tych imitacji buduje następnie worki „Justowe”, „parquet”, „ściany” — stanowiące tylko makietę znanych empirycznie przedmiotów.

Bo istota sztuki Alain Jacqueta jest zwątpienie w istnienie wartości bezwzględnych. Tu panuje relatywizm posunięty do najdalszych granic. Tematy historyczne są parodią „archetypów” kulturowych, czystość obrazu zależy od odległości, w jakiej znajduje się od niego widz, przedmioty „materiałne” przy bliższych oglądaniach stają się bezużyteczną makietą. Parada nonsensów i fałszywych znaczeń prowokuje odbiorcę do zastanowienia się nad względnością oceny kultury materialnej, w którą obróśliśmy i w której ponadczasowa wartość gotowi jesteśmy wierzyć jak w dogmat. Jacquet pragnie udowodnić coś innego — pokazać jak bardzo powstająca cywilizacja sprzyja powstawaniu fetyszy nie dających

się oddzielić od rzeczywistych wartości. Na ten relatywizm skazuje ostentacyjnie Jacquet i własna sztuka: wydobywające się obłoczek dymu rozwiewa wiatr; dywan, którego kolorystyka wystąpi dopiero po wytarciu powierzchni butami zwiedzających, ulegnie na skutek używania zniszczeniu.

Ta sztuka, która zrodziła się na gruncie wątpliwości w sprawdzalności naszego widzenia, nie zmierzająca — jak to ktoś powiedział — do pustego epatowania publiczności. Bierze bowiem ona pod uwagę całe dotychczasowe doświadczenie i stopień osiągniętej wiedzy przez człowieka. A właśnie największe zdobycze wiedzy technicznej filozofii i matematyki — mówią przecież wyraźnie jak bardzo relatywny i nieostateczny jest zakres ludzkiego postrzegania.

\* Alain Jacquet — Mec Art — Muzeum Sztuki w Łodzi maj — czerwiec 1969.



## POLONICA

GROTOWSKI I JEGO  
NASŁADOWCY

Teatr Jerzego Grotowskiego z Wrocławia wzbudza ogromne zainteresowanie we Francji. Pisaliśmy już o znakomitej — i pierwszej na świecie — monografii poświęconej polskiemu zespołowi, napisanej przez Raymonde Temkine. Książka ta została niedawno przetłumaczona i przyczyniła się przez tygodnik „Les Nouvelles Litteraires”.

Na wiosnę roku obecnego wybitny reżyser francuski, Antoine Bourseiller, który kieruje teatrem w Aix-en-Provence, zaprosił Jerzego Grotowskiego i Ryszarda Cieślaka, by poprowadzili kurs dla aktorów różnych narodowości. Przy tej okazji dyrektor wrocławskiego Teatru — Laboratorium wygłosił we francuskiej telewizji dłuższe przemówienie na temat swej koncepcji „teatru biednego” oraz kontaktów między aktorami i widzami. Równocześnie współpracowniczką „Le Monde”, Claude Sarraute, zwróciła się do Grotowskiego z pytaniami, dotyczącymi jego stosunku do naśladowców i „epigonów”.

Pani Sarraute przypominała przy tej okazji, że 21 czerwca 1966, dzień w którym Teatr — Laboratorium z Wrocławia zaprezentował w Paryżu, w Teatrze Narodów „Księcia Niezłomnego” był datą o dużym znaczeniu, którą można ze stanowić jedynie z odkryciem przez zagranicę Berliner Ensemble, czy teatru Viscontiego. Wpływ Grotowskiego był i jest ogromny. Kamyk rzucony przez tego młodego 32-letniego Polaka, zatacza coraz szersze kręgi — pisze Sarraute. Szkicuje ona sylwetę Grotowskiego, dodając, że „słucha on chętnie, mało się udziela”.

Co do teatrów, naśladowczych efekty teatru — laboratorium nie dają nic własnego i nie umiemy zastosować jego metod pracy, Grotowski surowo je ocenił i nazwał stereotypami.

## POLONICA



Fot. W. Parys

Było ich w Łodzi około 2 tysięcy. Nie uczyli się, nie pracowali spacerowali po łódzkim „deplaku” odmierzając odległość od Pl. Wolności do ul. Andrzeja.

Aż tu pojawiły się na terenie miasta Łodzi komunikaty obwieszczenia: „W związku z zarządzeniem Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi z dnia 5 lutego 1969 roku nakładającym obowiązek kształcenia zawodowego młodzieży w wieku od 15 do ukończenia 18 lat, która nie uczęszcza do szkół i nie pracuje zawodowo, podaje się do wiadomości co następuje:

„Rejestrację powyższej młodzieży urodzonej w latach 1954, 1953, 1952, 1951 przeprowadzają inspektoraty oświaty prezydium dzielnicowych rad narodowych w terminach i miejscach niżej wskazanych” i dalej: „Niedopełnienie obowiązku kształcenia podlega karze grzywny”. Podpisano — Kurator Okręgu Szkolnego m. Łodzi (—) mgr Henryk Grenada.

### DLACZEGO PRZERWALI NAUKĘ?

Od dnia 17 lutego do 5 marca br. do 7 komisji spisowych działających na terenie m. Łodzi zgłosiło się 1526 osób.

W tej liczbie: Zwolnionych ze szkół po 1 stycznia 1969 r. — 98 osób; z nieukończoną szkołą podstawową — 190 osób; po ukończeniu szkoły podstawowej — 916 osób; uczących się, ale nie pracujących —

110 osób; młodzieży defektywnej — 160 osób; zarejestrowanych w Kuratorium Okręgu Szkolnego — 52 osoby. (wg stanu 11.III.69 r.)

Zastanawiający jest fakt, jakie są przyczyny takiego stanu rzeczy. Istnieje przecież powszechny obowiązek nauczania. Od 1965 r. dla absolwentów szkół podstawowych zagwa-

trzebnie rejestracji. Czasem poczta zwracała wezwania z dopiskiem: „Adresat nieznan”. Pomimo tych niepokojących zjawisk większą część młodzieży zgłaszała się do komisji spisowych dość chętnie. Na ogół są to młodzi ludzie, którzy podejmowali już naukę w szkołach zawodowych i technicznych. Tych, którzy po-

### MIECZYŚLAWA WALCZAK

## Stawka równa życiu

rantowane są miejsca w szkołach średnich. Łódź posiada około 90 typów specjalistycznych szkół zawodowych, a poza tym młodzież może się ubiegać o miejsca w szkołach na terenie województwa.

W tej sytuacji liczbę — 1526, należy uznać za zbyt dużą, tym bardziej że nie odzwierciedla ona całości kształtu zjawiska. Ciągłe jeszcze istnieje dość znaczna grupa młodzieży, która się do rejestracji nie zgłosiła. Jest to grupa szczególnie trudna. Nie chcą się uczyć i pracować. W niektórych przypadkach nie pomagają nawet wysokie kary pieniężne. Na wszelkie upomnienia reagują stwierdzeniem: „co tam, niech starzy placą”. Zdarza się np. że kilkunastoletni syn bił swego ojca inwalidę, gdy ten przypominał mu o po-

ukończeniu szkoły podstawowej gdzie się nie uczęli, jest niewielu.

### PRZED KOMISJĄ

Do komisji spisowych zgłaszali się dobrowolnie (sami z rodzicami) lub po prostu pod przymusem administracyjnym. Tu zaczęły się nowe problemy.

Okazało się bowiem że interes społeczny i zapotrzebowanie w danym zawodzie najczęściej miały niewiele wspólnego z zainteresowaniami zarówno młodzieży jak i rodziców. Czasem trzeba było wielu perswazji, rozmów, udzielania porad i informacji, by przekonać zainteresowanych do jakiegoś zawodu. Niemal wszystkie dziewczęta chciały być fryzjerkami, ewentualnie krawcowymi, gońcami czy introliigatorkami. Chłopców, szcze-

gólnie interesowała praca w zawodzie mechaników samochodowych lub kierowców pojazdów mechanicznych. Duże było zainteresowanie grupą zawodów elektrycznych i metalowych. Na tomiastr zauważało się wyraźną niechęć do zawodów budowlanych i włókienniczych. (Wydział Zatrudnienia dysponuje właśnie w zawodach budowlanych aż 661 miejscami). W rezultacie młodzi narzekają na brak zajęć, gdy tymczasem w budownictwie i przemyśle włókienniczym, pracuje wiele osób pochodzących spoza Łodzi. Niechęć do tych zawodów opiera się głównie na mniemaniu że „na budowach rozpowszechnione jest pijaństwo”, że „praca bardzo ciężka i nie pozbawiona niebezpieczeństw natury moralnej”. Jeśli zaś chodzi o włókiennictwo, to rodzice pamiętając zazwyczaj ciężką, wielogodzinną harówkę przy starych, mało wydajnych warsztatach tkackich kierują się nieuzasadnionym uprzedzeniem do tego zawodu, zapominając o tym, że od ich czasów stare maszyny dawno już zastąpiono nowoczesnymi a warunki pracy uległy zasadniczym zmianom. Często dawalo się zauważyć wśród młodzieży niedocenianie a nawet pogardę dla pracy fizycznej.

Niektórzy rodzice odznaczali się zupełnym brakiem wiedzy pedagogicznej. Czasem dochodziło do anegdotycznych niemal sytuacji:

— jeden ze zgłaszających się chłopców wyjaśnia że należy do zespołu muzycznego i zarabia niewiele... 400—600 zł tygodniowo. Ojciec na pytanie komisji — „Co pan robi z tymi pieniędzmi?” — odpowiada nie kryjąc oburzenia. — „Ja się nie wtrącam do pieniędzy syna”.

Przychodzi matka z córką. (Córka ubrana szykownie i starannie, wycieczką, zadbana i pewna siebie. Matka zalekniona i nieśmiała, ubrana w porządnie podniszczony płaszcz, na twarzy jej widać zmęczenie).

— Gdzie chciałyby pani córka pracować?

Córka spogląda znacząco na matkę posyłając równocześnie w stronę komisji czarujący uśmiech, po czym pada odpowiedź:

— Może znajdzie się jakaś praca w filmie.

— Proszę pani, to niemożliwe, bo jeśli chodzi o wszelkie prace porządkowe, a tylko takie mogłaby tam ewentualnie córka wykonywać, to wykonują je sprzątaczkę ze Sp. „Czystość”.

Obie panie żywo reagują: — Ależ nam nie o taką pracę chodzi. Ja chciałam aby moja córka mogła tam pracować jako... statystka, przecież do tego nie trzeba żadnej szkoły.

Przykłady można mnożyć w nieskończoność. Potrzeba więc było ze strony komisji spisowych dużego opanowania, cierpliwości i wyrozumiałości, aby nie dopuścić do żadnych przykrych incydentów, tym bardziej, że przychodzący zachowywali się nieraz wyzywająco i arogancko. Starano się uwzględnić przy wyborze zawodu konkretne zainteresowania i zdolności kandydatów. Problem w tym, że trzeba się było liczyć ponadto z aktualnymi zapotrzebowaniami łódzkiego przemysłu na określonych fachowców i specjalistów.

Dodatkowych kłopotów przysparzały dziewczęta, bowiem w ogólnej liczbie zgłaszających stanowiły one ok. 50 proc., gdy tymczasem na 1722 miejsca pracy dla dziewcząt przewidziano początkowo zaledwie 232. Obecnie sytuacja ta uległa poprawie. Po wnikliwych przemyśleniach ze strony Kuratorium i Wydziału Zatrudnienia pewną ilość miejsc w zawodach przewidzianych i zastrzeżonych wyłącznie dla chłopców przyjęły właśnie dziewczęta. I tak np. do szkół elektrycznych skierowano ich 130. Przeważają również w takich zawodach jak: monter podzespołów radio-telewizyjnych, ślusarz, szwacz, introligator, mechanik maszyn szycących, iglarz, czy cukiernik.

Ponadto duża część zdecydowała się na naukę w zasadniczych szkołach włókienniczych, odzieżowych, gastronomicznych i przemysłu piekarniczego.

Jednak pomimo tych zabiegów propozycje dotyczące zatrudnienia dziewcząt, podane przez łódzkie zakłady, w dalszym ciągu nie pokrywają się z konkretnymi zapotrzebowaniami, dlatego konieczna wydaje się dogłębna analiza przeprowadzona pod kątem zwiększenia dla nich miejsc pracy.

W pierwszej fazie łódzkiego „eksperymentu pedagogicznego” chodziło przede wszystkim o ulokowanie młodzieży w szkołach a następnie dopiero kierowanie ich do Wydziału Zatrudnienia. (Do tej pory naukę podjęło około 1500 nastolatków a do Wydziału Zatrudnienia zgłosiło się 232 osoby, w tym 118 dziewcząt i 114 chłopców. Spośród nich skierowano do pracy 87 dziewcząt i 99 chłopców).

### JERZY NOWACKI

## OBO JETNI

„...Chcemy rozbudzić wśród młodzieży ciekawość świata, głód wiedzy, pasję poznańczą”.

### Z UCHWAŁY II ZJAZDU ZMS

W jednej z ankiet zwrócono się do studentów piątego roku Politechniki Łódzkiej z pytaniem: jak oceniasz nauczanie ekonomii politycznej z punktu widzenia kształtowania podstaw politycznych i wiedzy o gospodarce? Oto niektóre z wypowiedzi:

„W czasie bieżącego kursu ekonomii często wydawało się, że jest ona „piątą

nogą u stołu”. Patrząc jednak z pewnej, niewielkiej co prawda, perspektywy nasuwają się o wiele rozsądniejsze wnioski. Ekonomia polityczna jest jednym przedmiotem społecznym na uczelni technicznej i chociażby dlatego posiada duże znaczenie. Wiedzę o gospodarce kształtuje na pewno, co do wiadomości politycznych — to można dyskutować.

„...Mnie osobiście wydaje się, że poza omawianiem też zgodnych z programem wykładów, słusze byłoby wyjaśnienie niektórych posunięć naszej gospodarki np. zakupienie licencji Fiatu, porozumienie żeglugowe z Węgrami itp...”

„... Zrezygnować z części materiału na rzecz omówienia pewnych wydarzeń gospodarczych i społecznych np. sytuacja gospodarcza Francji”.

„Ekonomia polityczna jest przedmiotem niezbędnym na uczelni technicznej. Jeśli chodzi o rozwijanie wiedzy o gospodarce spełniła swoje zadanie, z punktu widzenia kształtowania światopoglądu jej wpływ jest żaden...”

„Katedra posiada przecież biuletyn informacyjny PAP, który mógłby wyjaśnić wiele interesujących problemów z życia politycznego”.

Około dwadzieścia procent ankietowanych wolało więcej dyskusji na ćwiczeniach, dwadzieścia procent wypo-

wiedzało się za omawianiem aktualnych zagadnień politycznych, prawie wszyscy uznali, że przedmiot jest konieczny.

Wydawać by się mogło, że studenci uczelni technicznej niewiele mają do powiedzenia w dziedzinie zagadnień społecznych. Mało kto wie, że właśnie na Politechnice Łódzkiej powstał przy Zarządzie Uczelnianym ZMS, jeden z niewielu w kraju, a jedyny w Łodzi Dyskusyjny Klub Wiedzy Politycznej „PUBLICUM”. W ciągu niespełna półrocznej działalności odbyło się w nim wiele spotkań z wybitnymi przedstawicielami życia politycznego: gen. Berlingiem, marsz. Spychalskim, red. Gerhardem i innymi. Szczególny entuzjazm wywołało spotkanie z gen. Berlingiem, które świątynią do klubu mnóstwo osób spoza uczelni, głównie — byłych uczestników kampanii na Berlin — ludzi, którzy przeżyli tamte chwile. „Publicum” ma ambicję, działalność potrzebna i pożyteczna, oby tak dalej.

Ale „Publicum” nie wyczerpuje wszystkich możliwości. Na każdej uczelni istnieją działające przy Zarządach Wydziałowych ZMS Studenckie Ośrodki Dyskusyjne. W spotkaniach może brać udział każdy — niezależnie od tego czy jest członkiem organizacji, czy też nie. Tu ściera się poglądy, kształtuje stosunek do istotnych spraw kraju i świata, tu nabiera się umiejętności rozumienia skomplikowanych niekiedy zagadnień.

Ciekawą inicjatywą są Wieczorowe Szkoły Aktywu, spełniające postulat wspólnego szkolenia dwu organizacji ZMS i ZSP.

Doceniono wreszcie wychowawczą rolę akademika. Na kształtowanie światopoglądu młodzieży mieszkającej w Domach Studenckich przy Alei Politechniki nie mały wpływ ma Komisja Polityczna Studia Radiowego „Zak”, nadająca w każdy piątek swe programy. Obecnie planuje się rozszerzenie tej działalności na ulicę Bystrzycką.

Ale patriotyczne wychowanie to nie tylko wiedza, to także zaangażowanie i szelna praca. „W działalności organizacji studenckiej są rzeczy przejściowe, przemijające wraz ze studiami i są elementy, które pozostają na zawsze w postawie wyniesionej z uczelni, w nastawieniu do życia, w rozumieniu jego potrzeb. Jest to przede wszystkim postawa, w której zawiera się to, co nazywamy społecznym podejściem do życia”<sup>1</sup>).

Dobrym przykładem społecznego zaangażowania jest studencki ruch naukowy. Pod patronatem Zrzeszenia Studentów Polskich pracuje obecnie około siedemset kół naukowych. Oto przykłady ich działalności:

— kół naukowe Uniwersytetu Łódzkiego podjęły się opracowania problematyki związanej z walką Polaków o wyzwolenie w latach 1939—45;



1500 młodych ludzi przewidziano w tym przedziale przed komisjami spisywanymi. Dlaczego tam przyszli? Czy tylko pod groźbą wysokiej grzywny? Wydaje mi się, że większości z nich znudziła się już bezczynność, nieróbstwo, obijanie po ulicach, wałkowanie i „zebranie” od rodziców o parę groszy. Obecnie podejmują proponowaną im naukę i pracę otoczeni ogólnym zaufaniem, życzliwością, pomocą i opieką ze strony nauczycieli, zakładowych instruktorów oraz organizacji społeczno-politycznych.

#### SZKOŁY CZEKAJĄ!

Celem omawianej akcji jest przede wszystkim przeciwdziałanie demoralizacji tej młodzieży, przywrócenie jej społeczeństwu i rodzinie a także możliwość wykorzystania rezerwy siły roboczej i zdobycie przez tę młodzież kwalifikacji zawodowych. Dla jak najszybszego przystosowania młodych do potrzeb gospodarki naszego miasta zaproponowano kilka form szkolenia zawodowego:

— roczne i dwuletnie szkoły zawodowe dla młodzieży z ukończoną szkołą podstawową;

— roczne i dwuletnie szkoły zawodowe dla młodzieży nie posiadającej ukończonej szkoły podstawowej (absolwenci tych szkół otrzymują świadectwo ukończenia szkoły podstawowej i przysposobienia zawodowego);

— kursy przysposobienia zawodowego (dla osób mających ukończoną co najmniej drugą klasę szkoły średniej).

Przewidziany jest: Dwuletni cykl nauczania w zawodach: budowlany, mechaniczny i włókienniczy oraz cykl jednoroczny w nauce zawodów: budowlany, mechaniczny, elektryczny, włókienniczy i w klasach wielozawodowych.

Szkoły przyzakładowe i międzyzakładowe mogą kształcić młodzież na takie stanowiska pracy jak: przedzarcz, tkacz, barwiarz, ślusarz, tokarz, monter podzespołów radio-telewizyjnych, murarz, cieśla, krawiec, inżynier, modelarz, szewc, fotograf, fryzjer, kreślarz, ślusarz, kowal, malarz, hydraulik, kucharka, piekarski i inne.

Nie wszyscy chyba wiedzą, że istnieje coś takiego jak: „Informator dla kandydatów do szkół zawodowych młodzieżowych na r. 1968/69” wydany przez Wydział Zatrudnienia i Kuratorium Okręgu Szkolnego m. Łodzi a dotyczący wyboru i perspektyw z poszczególnymi zawodami związanymi. Ponadto znajduje się tam rozdział miejsc przyszłej pracy w danym zawodzie.

Ostatnio wydany został „Wykaz szkół i specjalności

dla kandydatów do szkół zawodowych w roku szkolnym 1969/70” zawierający kierunki, nazwy i adresy szkół z podaniem ilości miejsc dla chłopców i dziewcząt a także z uwzględnieniem możliwości zdobycia zawodu przez tzw. młodzież „defektywną”. Zaplanowana została wspólna praca zakładów pracy ze szkołami celem badania postępów w nauce, sprawdzania frekwencji i wyjaśniania przyczyn ewentualnych nieobecności na zajęciach.

#### CZY MŁODZI PRZESTĘPCY?

Powszechnie zwano ich: „luzakami”, „kiziorami”, „kirusami”, „leworęcznymi”, „niedomytymi”, „urodzonymi w niedzielę” czy też młodzieżą „niczyją”.

Nie lubią tych sformułowań, oburzają się, uważają te określenia za krzywdzące. To dobrze, bo taka reakcja oznacza bunt i protest przeciw dotychczasowemu życiu. Rodzi się chęć odkrycia swych prawdziwych wartości. Na przekór wszystkim chcą pokazać, że coś potrafią, że nie są gorsi od innych.

Społeczeństwo przypisuje również tej grupie młodzieży popełnianie wielu przestępstw i chuligańskich wystryków. I jest w tym niewątpliwie trochę prawdy. Fakt, że bezczynne życie stwarza chęci „wyżycia się”.

Obecnie dzięki przeprowadzonej akcji ci młodzi uczęszczają do zasadniczych szkół zawodowych, mają niezłe wyniki w nauce, a niektórzy podjęli pracę zawodową.

Niestety, nie wszyscy skorzystali ze swej życiowej szansy. Do chwili obecnej nie zgłosiło się jeszcze do rejestracji ok. 20 proc. nie

uczące się i nie pracujące młodzieży. Są też tacy którzy owszem, przed komisją się stawili, ale ani nauki w szkole, ani żadnej pracy nie podjęli.

Ta grupa młodzieży stwarza dla społeczeństwa szczególnie ważny problem, wymagający jak najszybszego rozwiązania go. Dużą rolę odgrywa w tych przypadkach pedagogiczny zespół ORMO. Starając się zapobiec dalszemu przestępstwom prowadzi rozmowy, wyszukuje miejsca zgrupowania tej młodzieży w godzinach pracy ich rodziców, legitymuje grupki wędrujące się wieczorami po ulicach. W przypadkach podejrzanego zachowania się nastolatków kieruje ich do komendy MO zawiadamiając o tym fakcie rodziców. Schwytany nieletni uciekinier z domu musi dokładnie powiedzieć, gdzie był i co robił. Jego zeznania są sprawdzane.

Po wykryciu młodzieży bez żadnego zajęcia pedagogiczny zespół ORMO kieruje ich do pracy i szkoły lub do Ochotniczych Hufców Pracy (obecnie w OHP jest około 1200 wolnych miejsc).

Dzięki tym akcjom wielu młodych przestępców zostaje przywróconych normalnemu życiu.

Nie należy jednak młodzieży nie uczące się i nie pracujące utożsamiać z elementem przestępczym. (Stanowi ona zaledwie nieliczny procent).

Zwróciłam na tę grupę szczególną uwagę dlatego, że mimo niewielkiej liczby jest to grupa nadzwyczaj trudna wychowawczo, niebezpieczna ze względu na duży wpływ na otoczenie i wymaga troskliwej opieki oraz uwagi.

#### Kultura polska na świecie

## Kuba jest blisko...

O współpracy kulturalnej i wzajemnych kontaktach między Polską a Kubą rozmawiamy z panią MARGARITĄ MADAN DE FLOREZ radcą do spraw kulturalnych Ambasady Kubańskiej w Polsce.

**ODGŁOSY: Wymiana kulturalna Kuby i Polski nie ma wieoletniej tradycji. Zbliżenie naszych kultur i narodów to właściwie sprawa zaledwie dziesięciu lat.**

**MARGARITA MADAN DE FLOREZ:** Nasze wzajemne kontakty są bardzo żywe i w ciągu tych dziesięciu lat mogliśmy zanotować wiele ciekawych osiągnięć. Jeśli chodzi o literaturę to ukazało się w Polsce kilka cennych pozycji kubańskiej literatury. Przełożono najlepsze książki Alejo Carpentiera — „Podróż do źródeł czasu”, „Królestwo z tego świata”, „Eksplodacja w katedrze” — w tłumaczeniu jest bardzo ciekawa książka Carpentiera „Muzyka na Kubie”. Wydano też w Polsce antologię młodej poezji kubańskiej — u nas natomiast wydano antologię wierszy młodych poetów polskich. Po polsku ukazał się tom wierszy wielkiego poety kubańskiego. N. Guillema, przetłumaczono także na polski jedną sztukę teatralną naszego dramaturga J. Triana. Oczywiście zdajemy sobie sprawę, że dla wzajemnego poznania należałoby zwiększyć ilość przekładów z literatury polskiej i kubańskiej. Nie jest to sprawa łatwa. Po stronie polskiej mamy tak świetnych hispanistów — tłumaczy jak np. Kalina Wojciechowska, Zofia Szleyen — niestety na Kubie nie ma tytułu polonistów i hispanistów w Polsce.

Sprawy polskiej kultury mają jednak swoje stałe miejsce na Kubie. Fayad Jamis — poeta i malarz (przybył zresztą latem br. do Polski) redagujący pismo „Union” przygotował polski numer tego periodyku poświęcony naszej literaturze. Inne pismo wydawane przez Kubański Instytut Filmowy poświęciło jeden z numerów polskiej sztuce filmowej.

Filmy polskie są bowiem na Kubie dobrze znane i wysoko cenione. Można właściwie powiedzieć, że mamy u nas bardzo liczną grupę nie tyle zwolenników co wręcz fanatyków polskiego filmu. Nasz widz najwyższymi ocenami takimi pozycjami jak „Matka Joanna od Aniołów”, „Popiół i diament”, „Nóż w wodzie”, „Krzyżacy”, „Zamach”... Gościliśmy niejednokrotnie polskich filmowców — m. in. Andrzeja Wajdę, Jerzego Kawalerowicza.

Radio i telewizja kubańska i polska prowadzą także stałą wymianę programów, filmów i nagrań. Z Polski otrzymaliśmy tak popularny u nas serial „Stawka większa niż życie” oraz szereg filmów muzycznych,

rozrywkowych, nagrania piosenek itp. Ten rodzaj wymiany jest dość żywy a w najbliższym czasie jeszcze się zwiększy.

Istnieją zresztą osobne umowy o wymianie kulturalnej, wymianie doświadczeń między Polską Akademią Nauk, Radiem i Telewizją, muzeami — a podobnymi instytucjami na Kubie. Trwa od dłuższego czasu wymiana stypendystów i profesorów między Uniwersytetem w Hawanie, a uniwersytetami polskimi. Ostatnio gościli w Polsce pracownicy Biblioteki Narodowej w Hawanie, którzy zapoznawali się z doświadczeniami podobnych placówek polskich. W celach podobnej wymiany przebywają obecnie w Polsce naukowcy z Muzeum Zoologii w Hawanie.

Bardzo szeroka i ważna dla nas jest wymiana kulturalna w dziedzinie muzyki. W Polsce kształcą się w konserwatoriach i Wyższych Szkołach Muzycznych młodzi Kubańczycy — nasi muzycy z dużym zainteresowaniem uczestniczą w „Warszawskiej Jesieni” — na razie w charakterze obserwatorów... Na Kubie natomiast dużym powodzeniem cieszyły się koncerty polskich pianistek — Haliny Czerny-Stefańskiej i Lidii Grychtolówny. W bieżącym roku w czerwcu Halina Czerny-Stefańska odejdzie po Kubie tournée artystyczne — tym razem ze swą córką Elżbietą, także pianistką.

Odwiedził też Kubę dyrektor łódzkiego Muzeum Sztuki R. Stanisławski, bardzo przez nas ceniony muzeolog i historyk sztuki. Jesteśmy mu bardzo wdzięczni za zorganizowanie i piękną oprawę ekspozycji akwafort Wilfreda Lama w łódzkim muzeum. Mamy też nadzieję, że i inne wystawy kubańskiej sztuki przysyłane do Polski będą trafiały także do Łodzi.

**ODGŁOSY: A zatem co Kuba przysłała nam do oglądania i do słuchania w najbliższych miesiącach?**

**MARGARITA MADAN DE FLOREZ:** W październiku odwiedzi Polskę Kubański Zespół Tańca Nowoczesnego. Prezentuje bardzo oryginalny i ciekawy program oparty na naszym folklorze, w którym przeplatają się elementy kultury hiszpańskiej i afrykańskiej. W muzyce i tańcu pierwiastek afrykański jednak dominuje. Ten zespół odwiedzi kilka miast Polski — także Łódź, leży na trasie jego artystycznego tournée. Z wystawą malarstwa kubańskiego przybędzie do Polski — jak już wspominałam — Fayad Jamis, poza tym oczekujemy na wystawę kubańskiej rzeźby. W KMPiK w Płocku otwiera się duża wystawa fotograficzna „10 lat rewolucji” oraz druga poświęcona uprawie tytoniu — być może wystawy te przeniesie się do innych miast — może więc i Łódź je zobaczy.

Przyjechał też do Polski Teatr Lalki i Aktora — który jak wiadomo odwiedził Łódź. Ma on w repertuarze sztuki zarówno dla dzieci jak i dla dorosłych. Dla młodych widzów jest sztuka oparta na afrokubańskich mitach pt. „Bliźniacy i bęben Ba-ta” — dla dorosłych klasyczną sztukę hiszpańską pt. „Don Juan Tenorio”.

Ze strony zarówno Polski jak i Kuby czynione są duże wysiłki w kierunku rozwijania wzajemnych kontaktów. Zdajemy sobie bowiem sprawę, że wymiana dóbr kulturalnych służy nie tylko lepszemu, wzajemnemu poznaniu, ale jest czynnikiem wzbogacającym kulturę i sztukę obu naszych narodów.

Rozmawiał: JERZY WILMAŃSKI

#### W NASTĘPNYM NUMERZE „ODGŁOSÓW”:

- Andrzej Makowiecki O TEGOROCZNYCH MATURACH
- Rozmowa z dyr. Karolem Drozdem O SZKOLENIU ARTYSTYCZNYM
- Andrzej Weiser O NOWYM KODEKSIE KARNYM
- WIELKA MIŁOŚĆ ROBERTA SCHUMANNA
- NOWELA KRYMINALNA

— koła naukowe Akademii Medycznej w Łodzi przeprowadziły w ubiegłym roku na obozach letnich badania lekarskie 2690 osób. Zaszczepiono 1490 dzieci;

— Ogólnopolskie Studenckie Seminarium Leninowskie zajęło się problematyką 50-lecia niepodległości Polski.

Już z tych kilku przykładów można by wyciągnąć bardzo optymistyczne wnioski. Można by, gdyby opisana działalność obejmowała nie tylko studencki aktyw, gdyby charakter jej był naprawdę masowy.

Co z tego, że ZSP zrzesza 86 proc. młodzieży akademickiej, jeżeli znaczna liczba jego członków podpisuje się tylko pod tą częścią programu organizacji, która obejmuje praktyczną działalność ułatwiającą życie na uczelni. Co z tego, że istnieje „Publicum”, Studencki Ośrodek Dyskusyjny, skoro jego działalność nie spotyka się z dostatecznym zainteresowaniem.

Z jednej strony głód wiedzy politycznej (ankiety), szereg możliwości jego zaspokojenia z drugiej, a rezultat? Postawmy sprawę jasno: ZMS nie dotarł jeszcze do wszystkich. Dlaczego?

Przyczyn jest wiele. Można usłyszeć czasami opinie, że zebrania organizacji są nudne. Opinie takie głoszą osoby, które po prostu się nie orientują, które chy-

ba nie miały okazji uczestniczyć w żadnym z zebrań. Bo trzeba być półinteligentem, człowiekiem wyjątkowo prymitywnym, żeby spotkanie z gen. Berlingiem sklasyfikować jako zwykłe, pospolite trucie. Ciekawe, że ci, którzy zetknęli się z organizacją, przekonują się, pozostają.

Niebagatelną sprawą jest odpowiedni dobór lektorów prowadzących spotkania, nie każdy bowiem potrafi się ze studentami „dogadać”. Trzeba człowieka z poczuciem humoru.

Z ciekawą inicjatywą wyszli w tej sprawie studenci UL, proponując założenie studenckiego koła lektorów. Pomysł dobry, wart realizacji.

„Twardą prawidłowością jest przyznawanie studentowi prawa do wątplenia. Od wątplenia zaczyna się zwykle twórcze myślenie i przezwyciężanie niejasności, a od samodzielnego pokonania wątpliwości zależy siła i trwałość przekonań oraz poglądów ideologicznych i politycznych. Wszak socjalizm jest prawdą naszych czasów. Nie trzeba go bronić przez tłumaczenie samodzielną myślą, uniki czy sofistykę. Idee socjalistyczne materializując się, bronią się same. Przy okazji uprzytomniać należy studentom fakt, że socjalizm nie budują aniołowie, lecz ludzie, a sam socjalizm nie jest darem bogów, lecz owocem myśli i trudu ludzkiego. Uczyc się należy zatem studentów roz-

różniać to co jest zawinione przez wykonawców idei, od tego, co stanowi samą ideę. Uczyc się rozgraniczać omyłkę, błąd realizacji od doktryny założeń fundamentalnych, od systemu socjalistycznego. Wykładowca musi być świadomy, że w sali audytornej nie stoi wobec naiwnych, którzy wszystkiemu wierzą na słowo. Odważnie przeto należy podejmować problemy trudne, otwarcie ujawniać słabości i błędy na poszczególnych odcinkach budowania”<sup>2)</sup>.

Zadanie to spełnia nowy przedmiot: podstawa nauk politycznych, którym nie będą się zajmować bliżej, powracając do działalności studenckiej.

Sporo trudności w oddziaływaniu na ogół — mówią członkowie organizacji — przysparza nieco przestarzała struktura ZMS na uczelni. Na Politechnice Łódzkiej ZMS skupia ponad 1500 członków. Jest to dużo, a mimo to Zarząd Uczelniany jest na prawach Zarządu Szkolnego, co wiąże się z wieloma trudnościami. Mamy nadzieję, że następny Zjazd ZMS zmieni tę sprawę radykalnie.

Bardzo dużo jest do zrobienia na polu współpracy dwu wielkich organizacji ZMS—ZSP. Poważne nadzieje daje uchwała VII Kongresu ZSP: „Naszym podsta-

wowym zadaniem będzie potrzeba zwiększenia skuteczności oddziaływania ideowo-wychowawczego na ogół studentów. Celem naczelnym tego działania będzie kształtowanie w uczelniach człowieka o wysokich kwalifikacjach zawodowych, politycznych i moralnych, zaangażowanego w budowę socjalizmu nie tylko słowem, lecz przede wszystkim czynem”.

Możliwości jest dużo, śmiało można powiedzieć, że nie jest wcale źle. Bo prawdą jest, że wszyscy studenci i ci aktywni i ci, którzy mniej udzielają się społecznie są z obecnym ustrojem. W ustroju tym się urodzili i wychowali. Nie znają głodu, bezrobocia, bojówek, faszystowskich. Do dzisiejszej rzeczywistości przyzwyczaili się od dziecka, nie wyobrażają sobie innej. Socjalizm jest dla nich rzeczą tak naturalną, tak powszechną i tak osiągalną, że nie zawsze rozumieją potrzebę zamianowania swych przekonań.

1) — z przemówienia tow. Józefa Tejchmy na VII Kongresie ZSP.

2) — „Praca ideowo wychowawcza w szkołach wyższych” — Bolesław Pleśniarski — „Nowe Drogi” nr 3(28) str. 84.



# ÓSKAR

## z książkami

POŻERACZ LUDZI  
Z MALGUDI CZYLI  
EGZOTYKA

Życie w małym, wyma-  
ginowanym miasteczku  
Malgudi toczyło się utar-  
tymi drogami, w sposób  
cichy i spokojny. Wyda-  
wałoby się, że nikt nie  
jest w stanie zakłócić u-  
stalonego trybu życia  
trzech przyjaciół, spoty-  
kających się co dzień w  
saloniku drukarskim jed-  
nego z nich. Ale w mia-  
steczku zjawia się czło-  
wiek nazwiskiem Vasu, wy-  
różniający się potężnym  
wzrostem i olbrzymią si-  
łą. Nagle pojawienie się  
Vasu jest tak szokujące  
jak jego tryb życia, po-  
stępowanie w stosunku do  
innych osób „natura je-  
go nie pozwalała mu po-  
zostawić nikogo w spoko-  
ju”. Tropienie zwierząt,  
zabijanie i zdzieranie skó-  
ry, czyszczenie a w osta-  
tecznej fazie wypychanie  
zwierząt — oto profesja  
Vasu. Stale rywalizowanie  
z naturą, bezlitosna walka  
z nią i możliwości zrobie-  
nia dobrego interesu —  
to zajęcia pożeracza zwie-  
rząt, ale oprócz zamierz-  
onych dokonuje on naj-  
większego aktu zniszcze-  
nia, niszczy dobre imię  
otaczających go osób, ich  
przyjaźnię i cały ich  
świat. Pożeracz ludzi dzia-  
ła bezkarnie i kto wie  
jak potoczyłyby się losy  
mieszkańców wymagino-  
wanego miasteczka, gdy-  
by...?

Aczkolwiek autor wybrał  
za tło miasteczko i posta-  
cie wymaginowane, od-  
najdziemy w książce wie-  
le znanych nam sytuacji  
i prawd życia codzienn-  
ego.

Bogata galeria postaci prze-  
wijających się przez książ-  
kę, finezyjny humor pe-  
ten uroku i satyra przy-  
czyniły się do tego, iż  
książka Narayana... „Po-  
żeracz ludzi z Malgudi”  
stać się może lekturą  
jednego wieczoru.

M.S.

R.K. Narayan, „Pożeracz  
ludzi z Malgudi”, Książ-  
ka i Wiedza, Warszawa  
1969, cena zł 20.—

# SÓL i METAL

Dalszy ciąg ze str. 3

kania na ulicy Wyczółkowskiego  
z nalepką urzędu kwaterunkowe-  
go, na której wypisane było jego  
nazwisko i powiedział do żony:  
— Jutro przechodzę do stoczni.

Rzecz w tym, że nie była to  
jeszcze stocznia budująca okręty.  
Przemysł stoczniowy wymaga o-  
gromnego zaplecza, a niemal  
wszystkie fabryki w Polsce roz-  
poczęły dopiero produkcję. Do  
Brzezińskiego, który objął kuźnię,  
zgłaszali się tokarze i prosili, że-  
by dał im noże. Więc chodził do  
stosu gruzów po narzędziowni i  
wyszukiwał w nich kawałki sta-  
li. A potem wycinał trzony do  
noży i noże tokarskie, kul wyci-  
naki, przecinaki, bociany. Na  
głównym palenisku stoczni kul kot-  
wice trój i czteroramienne wał-  
czą mozołnie małym młotem. Były  
to kotwice do holowników.

Stocznia robiła w tym okresie  
właściwie wszystko. Z dna base-  
nu robotnicy wyciągnęli zarde-  
wiały traktor. Oczyścili wszystkie  
części, zmontowali je na powrót,  
naoliwili i 1 maja 1945 reprezen-  
tował stocznia na defiladzie. Tak  
opowiada ślusarz Paul, który jeź-  
dził z ekipą ludzi i w jakichś  
zrujnowanych poniemieckich ma-  
gazydach wyszukiwał części, które  
mogłyby się nadać przy budowie  
okrętów. Brakowało nitów trape-  
zowych, nitów okrętowych, wszy-  
stkiego.

— Znalazłem jeden magazyn —  
mówił Paul — i przywozem ni-  
tów 14 ton. Przywozem także  
cynku. Z Elbląga, z terenów stocz-  
ni Schichau, przywozem odkuw-  
kę do tylnicy. Ważyła 15 ton.

Od jesieni 1945 roku stocznia  
remontowała już duże statki ob-  
cych bander, które zawiąły do  
polskich portów, przywoząc „ur-  
nowskie towary. Wsłużone parow-  
ce z trudem znosiły drogę przez  
Atlantyk, więc kolejno przybijały  
do nabrzeża stoczni na remont.  
„Oreomar”, „Anna Howart”, „An-  
na Dickenson”, „Pontus Hares” —  
niektóre z tych nazw, może dla-  
tego, że było to pierwsze zetknię-  
cie się polskich stoczniowców z  
wielkimi jednostkami, wbiły się  
ludziom w pamięć. Dla siebie re-  
montowali niewielkie holow-  
niki wydobyte z portowych base-  
nów. Tak było jeszcze w roku  
1948, kiedy na Wybrzeże przyje-

chał nieznanym wtedy nikomu Sta-  
niślaw Soldek, traser. Ale dla tra-  
sera nie było jeszcze roboty. Sol-  
dek zaczął swoją pracę w gdań-  
skiej stoczni od remontu holow-  
nika „Rys”, którego kadłub ko-  
łysał się na wodzie. Rufa statku  
była strzaskana, trzeba było za-  
stąpić ją nową. A potem stocznia  
zaczęła budować niewielkie ry-  
backie kutry, które stanowiły już  
zapowiedź prawdziwej okrętowej  
produkcji.

3 kwietnia 1948 roku stanowił  
tę przełomową. Tego dnia na wy-  
remontowanej pochylni K-2 zalo-  
żono stępkę pod pierwszy polski  
statek pełnomorski przeznaczony  
do przewozu rudy i węgla. Nosił  
symbol B-30. Długi na blisko 90  
metrów kadłub wypełnił sobą całą  
pochylnię. W całym Gdańsku sły-  
chać było nocami walenie młotów.  
To niterzy łączyli ogromne arku-  
sze blachy. W listopadzie kadłub  
był gotów. Statek nie miał jeszcze  
nazwy.

Kiedy Stanisław Soldek dowie-  
dział się od kolegi, że rudowęgl-  
owiec zostanie nazwany jego imie-  
niem, nie uwierzył.

— Po prostu nie uwierzyłem —  
mówi teraz.

Statek ten znał na pamięć. Wraz  
z brygadą robotników, traserów,  
rozrysowywał wszystkie elementy  
w skali 1 : 1. A potem chodził  
na pochylnię patrzeć jak rośnie  
kadłub. Był wtedy w stoczni jed-  
nym ze starszych wiekiem robo-  
tników, dochodził do trzydziestki.  
W jego brygadzie pracowali chłop-  
cy, którzy nie mieli jeszcze dwu-  
dziestki.

— Należy ci się, dobrze praco-  
wałeś — mówili — w całej stocz-  
ni o tym wiedzą.

Następnego dnia Soldka powia-  
domiono oficjalnie o uroczystości  
wodowania statku. Jego żona, He-  
lena, zaproszona została na mat-  
kę chrzestną.

Wodowanie odbyło się 6 listo-  
pada 1948.

— Pogoda była tego dnia nie  
najlepsza, — wspomina Soldek —  
dął wiatr. Ale nie było zbyt chłod-  
no, chociaż założyłem płaszcz.

Przed wodowaniem odebrano od  
Soldka ślubowanie. Stał na try-  
bunie, patrzył na zgromadzone wo-  
kół tłumy, a wiatr porywał jego  
słowa:

„Ślubuję na honor polskiego ro-  
botnika postępowaniem swym nie  
przyniesić ujemy nazwisku, które  
stało się nazwą pierwszego pełno-  
morskiego statku zbudowanego w  
polskich stoczniach, zawsze wzro-  
rowo wypełniać swoje obowiązki,  
rozwijać i udoskonalać kwalifika-  
cje zawodowe, utrzymywać w na-  
leżytym stanie swoją sprawność  
fizyczną i umysłową, pod każdym  
względem służyć przykładem swo-  
go życia i pracy oraz stać niez-  
łomnie na straży zdobyczy klasy  
robotniczej”.

Potem zwolniono stopery i ka-  
dłub, o który żona Stanisława  
Soldka rozbiła butelkę szampana,  
i statek zsunął się majestatycznie  
na wodę.

Był to pierwszy z 530 statków,  
które do tej pory zbudowała Sto-  
cznia Gdańska im. Lenina.

KONRAD FREJDLICH

# OBIEKTYW

## Rudnicki w Studio 63

„Stare i Nowe” Lucjana Rudnickiego czytałem przed wielu laty  
i nie sięgałem w międzyczasie po tę książkę. A z dawnymi lek-  
turami sprawa ma się tak, że każdy powrót do nich, to weryfi-  
kacja. To kontrola własnego sądu, który utkwił w pamięci.

Kontrola takie wypadają różnie, bo i pewne książki się starzeją,  
bo i nasz prywatny gust się odmienia. Ale gdy po adaptacji pierw-  
szego tomu „Starego i Nowego”, książki wydanej przed 21 laty,  
sięgnęło telewizyjne Studio 63, gdy z ekranu popłynęły wzrusza-  
jące w swej prostocie, owiane łagodnym humorem i sentymentem  
zdania Rudnickiego, pomyślałem sobie: jakaż to dobra literatura!

Dziś nie bardzo się nawet pamiętam, że ukazanie się pierwszego  
tomu zbeletryzowanej biografii Lucjana Rudnickiego stanowiło  
dla naszej literatury punkt zwrotny. Po raz pierwszy przemówił  
z kart książki autentyczny proletariusz, którego życie wypełniło  
było gorzkimi doświadczeniami i walką. I to przemówił nie w for-  
mie chropawej, nieudolnej, ale językiem Prusa i Sienkiewicza, pol-  
szczyzną piękną i czystą jak woda kryniczna.

O twardym losie ludzi z tak zwanych wówczas nizin społecz-  
nych pisano już w naszej literaturze przedtem. Wystarczy wspom-  
nieć Konopnicką, Prusa, Sienkiewicza, Żeromskiego, Kruczkow-  
skiego. Książki najwybitniejszych naszych pisarzy przepojone były  
współczuciem i świadomością krzywd społecznych. Ale z Lucjanem  
Rudnickim to była przecież całkiem inna sprawa!

W książce swojej zawarł on realistyczny, choć artystycznie  
ukształtowany, obraz losów człowieka z ludu. Bez rozkiwania  
się nad sobą ukazał własne koleje życia od małego gospodarza z Su-  
lejowa ogarniętego ciekawością świata — do świadomego bojowni-  
ka-rewolucjonisty. Nie ma w tej biografii miejsca na inteligenc-  
kie kompleksy, na hamletyzowanie i fluktuację przekonania. Na te  
sprawy nie było czasu w tym żywocie pracowitym i twardym.

Studio 63, kierowane przez Adama Hanuszkiewicza, ma już swo-  
je zasługi w popularyzowaniu arcydzieł naszej literatury i to  
tych mniej może upowszechnionych, a zasługujących na najwyż-  
sze uznanie. Jest w programie Studia coś niezmiernie konsekwent-  
nego: chęć udowodnienia, że w dobrej publicystyce, felietonie lite-  
rackim, czy pamiętniku tkwią olbrzymie walory dramatyczne.

Realizacja tekstów literackich w Studio 63 nie zmierzają do udra-  
matyzowania na siłę. Wystarczy jeżeli aktor wygłasza kawał dobrej  
prozy, nie utożsamiając się nawet z jej autorem. Przypom-  
nijmy rozpisane na szereg głosów felietony Bova. Choć pisane w  
pierwszej osobie, wygłaszane były przez różnych aktorów, z któ-  
rych każdy zachowywał swoją indywidualność.

Wojciech Solarz w adaptacji „Starego i Nowego” postąpił podobnie,  
choć nie identycznie. Monolog biograficzny Rudnickiego roz-  
dzielił między pięciu bardzo zróżnicowanych aktorów (W. Kowal-  
ski, Z. Listkiewicz, J. Nalberczak, J. Nowak, W. Siemion). Każdy  
z nich prezentował inny etap dorastania i dojrzewania ideowego  
autora.

Choć zastosowana przez wszystkich wykonawców konwencja ak-  
torska nie miała nie wspólnego z tak modną dziś grą „z dystan-  
sem”, już sam fakt przejmowania opowieści jak palecikka zafate-  
kowej przez pięć różnych fizjonomii wyłącza możliwość utoża-  
miania osoby mówiącego z autorem książki. Wymiana aktorów  
miała także i sens inny: sygnalizowała kolejne przemiany we-  
wnętrzne bohatera.

Gdybym miał wyróżnić kogoś z wykonawców, byłbym w kłopot-  
cie. Każdy mówił na swój sposób, ale z tych fragmentów złoży-  
ła się całość. Od naiwnej, jak z ludowej baśni wyjętej, interp-  
tacji Siemiona aż po męską, jakby wstydząca się upajania ciep-  
lejszych uczuć grę Nalberczaka.

Zastrzegam się przed wyróżnianiem kogokolwiek z aktorów,  
ale nie mogę się powstrzymać, by nie podkreślić pięknego, poe-  
tyckiego epizodu wygłoszonego przez Władysława Kowalskiego.  
Opis pierwszego samodzielnego czytania należy zresztą i w książce  
Rudnickiego do najpiękniejszych fragmentów.

Porównywałem inscenizację „Starego i Nowego”, której nadano  
tytuł „Byłem i ja...” z „Obrachunkami Boyowskimi”. Tam zastoso-  
wał Hanuszkiewicz metodę niezwykle oszczędna, zrezygnował  
właściwie z wszelkich elementów widowiskowych. Solarz poszedł  
nieco inną drogą. Wstepil narratorów w tłum ludzi uczestniczą-  
cych w jakimś festynie, czy zabawie ludowej. Wykorzystując sne-  
cyfikę małego ekranu, ukształtował to środowiskowe na modłę  
filmową.

Statystyci mieli za zadanie stworzyć wrażenie przewijającej się  
masy ludzkiej. Zbliżenie ich twarzy, czy ręk w czasie jedzenia  
kielbasy, lub cukierków-lizaków, stylizowane były na stosowaną  
w filmie dokumentalnym metodę podglądania przez ukryta kame-  
re. Dzięki temu pomysłowi realizatorskiemu postać opowiadają-  
cego nie była wyizolowana, lecz tkwiła jakby w gazecie spraw  
ludzkiej.

I to był chyba słuszny wybór.

Władysław Orłowski

## O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Nadechodzącą kanikule zaczynają po-  
woli zwiastować propozycje repertuar-  
owe Centrali Wynajmu Filmów. W u-  
paly, które mogą się zdarzyć, widza zwa-  
bia do kina jedynie tytuły atrakcyjne,  
nazwiska gwiazd i gatunki smakowite,  
a łatwo strawne. Gwoździem letniego  
sezonu będzie oczywiście „Kleopatra”.  
Do tych filmów należeć będą również  
omawiane dziś w naszym przeglądzie  
filmy „OSKAR” i „SZALONY KOŃ”.

„Oskar” kojarzący się nam zawsze z  
impresją made in Hollywood, tym razem  
jest tylko skromnym imieniem drugo-  
planowego bohatera francuskiej kome-  
dii. Mówię drugoplanowego, ponieważ  
tam, gdzie występuje mistrz błazenady  
Luis de Funès, tam jego partnerzy mu-  
szą znaleźć się w cieniu. W „Fantoma-  
sie” odczuł to na własnej skórze sam  
Jean Marais.

Luis de Funès jest dziś najbardziej  
kasowym aktorem kina francuskiego,  
choć droga do tego sukcesu trwała nie-  
bagatelnie 25 lat, w czasie których de  
Funès grywał niezliczone ilości epizo-  
dów, powtarzając zawsze tę samą postać  
małego, ruchliwego i nade wszystko  
krzykliwego człowieczka. Pozostał de  
Funès tej postaci wierny, lecz pisze się  
dziś dla niej specjalne scenariusze, eks-  
ponujące wszystkie sytuacje, w których  
francuski mistrz farsy mógłby zaprezen-  
tować cały wachlarz swych umiejętności.

Z szalonym koniem postępować nale-  
ży, jak z doświadczenia wiadomo,  
ostrożnie. Toteż trzeba miłośników we-  
sternu lojalnie uprzedzić, że film  
„Szalony koń” jest westernem kome-  
diowym. Mamy więc jeszcze jedną ga-  
tunkową odmianę ulubionego przez wi-  
dów wszystkich nacji i różnego wieku  
filmu. Lojalnie trzeba również upre-  
dzić, że ta komediowa propozycja we-  
sternu nie jest jednakże filmem zbyt  
udanym.

Wydaje się, że w tej opowieści o przy-  
jaźni dwóch kowbojów i szalonego ko-  
nia nie wykorzystano wszystkich możli-

wości, jakie stwarzało nie tylko kome-  
diowe potraktowanie tematu, ale i osa-  
dzenie kowbojskich perypetii w czasach,  
kiedy jeździ się częściej fordami aniżeli  
na koniach i nosi się prawie mini-spód-  
niczki. Zaledwie w kilku scenach zdoła-  
no uzyskać zabawne efekty ze zderze-  
nia starych, konwencjonalnych wester-  
nowych sytuacji z „prozą” czasów  
współczesnych. Trzeba tu zastrzec, że być  
może w intencjach twórców filmu leża-  
ło to, by smutne i szare w zasadzie ży-  
cie dzisiejszych kowbojów znalazło w  
filmie swój obraz. Znamy jednakże  
„Skłóconych z życiem”, a „Szalony  
koń” miał być przecież komedią.

„Oskar” jest właściwie wodewilem,  
filmowym powtórzeniem tego gatunku  
scenicznego, który oświetlony talen-  
tem Feydeau po dziś dzień święci  
triumfy powodzenia nie tylko wśród  
francuskiej publiczności. Niejednokrot-  
nie zdarzało się nam wygłaszać po-  
chwaleń dobrego filmowego rzemiosła,  
które zresztą przed laty francuscy „no-  
wofalowi” twórcy ochrzczili pogardliwie  
mianem „kina papy”. To kino pozostało  
jednak nadal wypróbowaną receptą do-  
brej rozrywki i jeszcze lepszej kasy.

Reżyser „Oskara” pan F. Molinaro  
przy pomocy całego zespołu aktorskiego  
z de Funès na czele dokonał wyczynu  
nie lada. Jego film będąc adaptacją wo-  
dewilu C. Magnier zachował dostojną

sceniczną jedność miejsca, co jak wia-  
domo jest w kinie dużym ryzykiem.  
W jednej dekoracji mieszkania pana  
Barnier rozegrał reżyser szaleńczą ko-  
medię, w której na zmianę odbywa się  
pogoń za kandydatem na męża i trzema  
walkami. Akcja tych pogoni skonstru-  
owana została z jubilejską nieomal  
precyzją, a nadano im tempo więcej niż  
szaleńcze. Właśnie zawrotne tempo,  
ruch, błyskawiczne „wejścia” i „wyj-  
ścia” postaci i walizek, niezliczone  
gagi, które jednak nie przekraczają  
granic dobrego smaku, no i nade  
wszystko znakomite komediowe aktor-  
stwo czynią z „Oskara”, film, który  
można polecać bliżnim spragnionym  
zdrowego śmiechu.

Niewątpliwym urokiem tego filmu  
jest męskie uczucie troski i przyjaźni  
między kowbojami a niesfornym dere-  
sem, który jest w tym filmie partne-  
rem tak znakomitych westernowych  
aktorów jak Henry Fonda i Glenn  
Ford. Z pewnym zdumieniem stwierdza-  
my, że w tym aktorskim tandemie  
Ford lepiej sobie radzi ze swym współ-  
czesnym kowbojem, subtelniej prowadzi  
postać, której rysem szczególnym ma-  
łoby komizm. Widać Fonda woli klasycz-  
nego kowboja, a w „Szalonym koniu”  
nawet strzelać nie można. Jedyny  
strzał, który zresztą z trudem oddano,  
służy temu, by publiczność mogła jesz-

cze raz podziwiać konia, którego nikt i  
nic nie jest w stanie pokonać.

Jak zwykle w westernie ta ładna opo-  
wieść o przyjaźni między ludźmi a zwie-  
rzętami wtopiona została w cudowny,  
urzekający barwą plener zachodniej  
krainy. Dodane do kowbojów, konia  
i plenerów „sex-bombki” nie psują ca-  
łości, gdyż szybko zostają wymienio-  
ne na potężne ilości whisky i niezłą bi-  
jatykę rozegraną wprawdzie nie w sa-  
loonie, ale w zupełnie gustownej dzisiejs-  
szej amerykańskiej knajpcie.

EWA NURCZYŃSKA



# Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje



WYSTAWA OBRAZÓW PAULA DELVAUX

W paryskim Muzeum Sztuki Dekoracyjnej odbywa się wystawa siedemdziesięciu siedmiu obrazów Paula Delvaux. Dzieła te zostały sprowadzone z różnych stron świata przez belgijskie Ministerstwo Kultury.

Znany malarz surrealistyczny urodził się w Antheit w prowincji Liege w Belgii 28 września 1897 roku. Dotychczas namalował ok. 200 obrazów.

Malarz po dziesięciu latach prób i poszukiwań odnalazł swą własną, oryginalną drogę twórczą. Tematem dominującym w malarstwie Delvaux są zwłaszcza akty kobiece. Maluje prawie zawsze tę samą postać kobiecą, idealną, o piękności prawie nierealnej, którą ukazuje na tle najrozmaitszych krajobrazów, widoków, dworców kolejowych, placyków, dziwnych wnętrz itp. Malarska obsesja pięknej, zwykle nagiej kobiety, bie

rze się być może stąd, że Delvaux będący jedynakiem, wychowywany był przez matkę, która przeszedła swego syna przed istotami, według jej zdania szczególnie niebezpiecznymi, jakimi są piękne, młode kobiety.

Obrazy Delvaux nasycone są nastrojem melancholii i poezji. „Poezja rodzi się z silnego przeżycia — mówi artysta. — Nawet licznik gazowy może mieć duszę, jeśli się potrafi ją odnaleźć”.

## W STUPIĘDZIESIĘCIOLE URODZIN WALTA WHITMANA

W maju upłynęło 150 lat od urodzin wielkiego poety amerykańskiego Walta (lub Waltera) Whitmana.

Walt Whitman, syn farmera, był samoukiem. Pełnił najrozmaitsze zawody. Pracował jako zecer, był wiejskim nauczycielem, dziennikarzem, cieślą. Rozgłos zdobył tomikiem wierszy pt. „Leaves of Grass” (Zdźbła trawy). Zbiór ten, składający się z dwunastu poematów, Whitman sam

wydrukował i oprowił. Tom następnie stał się rozszerzał, aż rozrósł się on do kilkuset poematów. W twórczości swej Walt Whitman opiewał piękno ziemi amerykańskiej, walczył o demokrację i równouprawnienie kobiet, zwalczał niewolnictwo i rasizm, opiewał życie i pracę ludu. W pięknych strofach pochwałal piękno miłości i ludzkiego ciała. Kilka najwspanialszych wierszy poświęcił uczczeniu pamięci zamordowanego prezydenta Abrahama Lincoln. Rozczarowany pod koniec życia do

amerykańskiej rzeczywistości, w której nie widział możliwości spełnienia swych humanistycznych i demokratycznych ideałów, Walt Whitman dał temu wyraz w „szkielech prozą pt. „Democratic Vistas” (Demokratyczny rzut oka). W pracy tej poeta zawarł tak że wykład swej teorii twórczej.

Warto podkreślić, że poezje Whitmana zachwycały m. in., wielkiego hiszpańskiego poetę Garcę Lorcę, który napisał słynną „Ode do Walta Whitmana”.

Whitman szczerzy i walczący demokracja, zarliwy humanista, znakomity poeta wywarł znaczny wpływ, który trwa aż do dnia dzisiejszego, na amerykańską literaturę. W roku 1955 Światowa Rada Pokoju zaleciła uczczenie na całym świecie stuletniej rocznicy ukazania się w druku tomu „Zdźbła trawy”.

## RAJECZNA ALICIA ALONSO

Tak kubańską tancerkę nazywa paryski „L'Express”, zachwycając się jej wspaniałym tańcem i nieprzeciętną urodą. Znakomita tancerka przybyła do Europy, gdzie występuje z baletem państwowym Kuby w Berlinie, Brukseli, Paryżu, Barcelonie. Nikt z widzów, kto przygląda się jej wspaniałemu tańcowi, zwłaszcza w „Carmen” (choreografia jej przyrodniego brata Alberta Alonso), nie przypuszcza nawet, że słynna tancerka liczy sobie 50 lat i jest prawie całkowicie niewidoma.

Alicia Alonso urodziła się w Hawanie, a debiutowała tańecznie w Stanach Zjednoczonych. Gdy miała

bie, że albo przewycięży swe kaleństwo, albo się zabije. W roku 1943 w Nowym Jorku odnosi wspaniały sukces występując w „Giselli”.

W roku 1959 po dojściu do władzy Fidela Castro, Alicia otrzymuje od niego znaczne środki finansowe, za które reorganizuje kubański balet. Zostaje ufundowana szkoła tańca, później rozbudowana w Centrum sztuki współczesnej. Dziś jest to instytucja w pełnym rozkwicie.

Mistrzostwo Alicii Alonso to nie tylko wrodzony talent, ale szalona, wytrwała, nieustanna praca. Tancerka ćwiczy codziennie, jakby była dopiero początkującą. Nie zrażając się słabą wydolnością wzroku, Alicia przed każdym występem dokładnie bada dotykem scenę, centymetr po centymetrze, aby później już bez jakichkolwiek wahań poruszać się swobodnie podczas występu.

Amerycanie chcieliby ją znaną zaważać do jakiegokolwiek zespołu baletowego w Ameryce, lecz mimo komercyjnych ofert, Alicia Alonso nie zgadza się. „Albo z baletem kubańskim, albo wcale” — odpowiada.



Alicia Alonso w „Carmen”.

ła lat 22, zachorowała na oczy. Mimo poważnego osłabienia wzroku nie zrezygnowała z tańca. W tajemnicy przed wszystkimi ćwiczyła, przysługując so-

## RYUNKI GIACOMETTIEGO

Ostatnio w Paryżu odbyła się wystawa rysunków słynnego malarza i rzeźbiarza Alberta Giacomettiego, zmarłego w Paryżu w roku 1966.

Alberto Giacometti urodził się w 1901 roku w Stampa w Szwajcarii. Początkowo był jednym z wybitniejszych surrealistów, a następnie wypracował sobie własny styl twórczy. Dzieła z okresu późniejszego charakteryzuje wydłużanie form. Jego rzeźby to bardzo wysokie, chude postacie. Obecna wystawa paryska prezentuje jedynie rysunki i szkice wykonane w latach 1922—1965. Jak podkreśla krytyka, obsesja Giacomettiego był problem oddania wrażenia przestrzenności o bieżących w płaszczyźnie dwuwymiarowej. Charakterystyczne jest dla jego rysunków to, że zacierają się w nich kontury, postać pokazywana jest mnogocią linii i kresek, co sprawia wrażenie lekkości, przestrzenności.

Jeden z rysunków Giacomettiego, portret z roku 1962, oglądaliśmy na wystawie współczesnego malarstwa francuskiego w Łodzi w grudniu ub. roku.

# Bez strachu

## PATRZĄCY W SUFIT

Jeżeli założymy, że w niedzielne przedpołudnie, gdy milkną już dzwony, spacerując długo z moim przyjacielem, starym malarzem, po parku Sienkiewicza, że oglądamy z radością zielone i silne drzewa, że po długim spacerze wehoczemy do Galerii i oglądamy zawieszona na ścianach grafiki, w których literatura kształtów funkcjonujących w świecie pozagraficznych, miesza się z bezsłownymi układami planu, nigdzie nie opisanych, jeżeli przyjemny, że wspólnie dokonujemy wysiłku oswojenia się, zanurzenia, wejścia w ten świat nieznaną, właśnie dlatego, że zawiera on w pewnej części wizerunek świata, o którym myślimy prostodusznie, że jest znany — jeżeli uwierzymy, że napięci jeszcze, rozedrgani w tym wysiłku w znacznym stopniu daremny powracamy do czarno-zielonego, żywego i silnego parku Sienkiewicza, i siadamy na ławce straciwszy z niej uprzednio gazetami bezskatlny niewidoczny prawie był, pozostający po tych, którzy wypoculi uprzednio. Jeżeli patrząc z owej ławki na nasłonecznione, bogate i drgające drzewa stwierdzamy, że widok owych drzew tak nas cieszy jakby były one dziełem człowieka, mimo, że do wnętrza laboratorium zwiędzianych przed chwilą dzieł ludzkich drzewa owe w zupełności nie przystają, bowiem widziane uprzednio grafiki były znakami myśli, zaś widziane obecnie drzewa są znakami radości. Jeżeli pokrótce i nieobowiązująco rozważymy zagadnienie tworenia nie-możliwego wizerunku nie-swiata, wobec istnienia może liwego i pewnego świata... Jeżeli następnie znużeni i ucieczeni połączymy się z galerią i z parkiem i odejdziemy w różne strony, z których każdy będzie jedną uważał za swoją mimo, że wcale nie jest jej panem, jeżeli wszystko to nastąpi i minie będziemy jednakowo zmęczeni, to jest pewna szansa, że zamknęci w swoich mieszkaniach postąpimy jednako: każdy z nas leżąc na tapczanie długo spoglądać będzie w sufit, na którym pierwotnie dostrzeże ciemne smugi, rysy w białej farbie, a także nieduże wyrwy trójwymiarowe, wglębenia po bryłkach odpadłej materii. Jest pewna szansa, że uporczywie patrząc w sufit będziemy niedalecy ujrzenia, przypomnienia — widzianych niedawno grafik, skłębionych z widzianymi niedawno drzewami. Ze widoki połączą się z szumem wiatru, którym kipiły owe drzewa. Ze nieświat połączy się ze światem. Leżenie na tapczanie i uporczywe spoglądanie w sufit jest rzeczą ludzi wrażliwych posiadających pamięć uczuć i produktywność wyobraźni. Skutkiem podobnego leżania jest gruntowna syntezą rzeczy widzianych, pogodzenie uznanego bytu z tym co krąży w pobliżu jeszcze za byt nieuznane. W tym czasie, kiedy my leżymy i pracowicie spoglądamy w sufit, trwa jeszcze niedziela. Tysiące leni zaopatrzonych w żywność wyrusza właśnie w pole, i do lasu — spoceni i gnusni wędrują przez góry i doły. Szukają czegoś, czego nigdy nie znajdują, podczas gdy my zbliżamy się do syntezy tego co wyprodukowane, z tym co zastane.

## Spektakle tygodnia

	Liczba spektakli	widzów	proc.
<b>TEATR WIELKI</b>			
„Cyrulik sewilski”	1	1260	100
„Romans gdański”	2	2520	100
„Tragedyja albo rzecz o Janie i Herodzie”	1	1072	86
„Jeziro łabędzie”	1	1240	99
„Zemsta nietoperza”	1	1260	100
„Tosca”	1	1260	100
<b>NOWY</b>			
„Dziś do ciebie przyjść nie mogę”	2	1400	100
„Życie jest snem”	2	700	50
„Pierścień wielkiej damy”	1	350	50
<b>MAŁA SALA</b>			
„Szkoła kobiet”	6	900	75
„Księżyc świecił nieszczęśliwym”	1	200	100
<b>POWSZECHNY</b>			
„Kim jesteś inżynierze”	3	1600	90
„Turniej z czarodziejem”	2	1320	100
<b>IM. JARACZA</b>			
„Wesele”	2	780	61
„Ania z Zielonego Wzgórza”	2	1260	100
<b>7.15</b>			
„Znamy Cię tylko z widzenia”	3	960	76
<b>OPERETKA</b>			
„Turniej w Rio de Maracasso”	6	4741	70
<b>FILHARMONIA</b>			
2 koncerty symfoniczne		880	62
1 koncert kameralny		200	100

# Od NIEDZIELI do NIEDZIELI

## SKARB W SREBRNYM JEZIORZE

NAJBOGATYSZY POLAK — MONETA KRÓLA ŁOKIETKA — ZYGMUNT III WAZA NA AUKCJI — HISTORIA NA LETNIE UPALY — TYLKO LEGENDA?

W sklepach na Wschodniej widuje już codziennie zielone ogórki — zaczynają się już także pojawiać na łamach gazet... „Ogórki” czyli tajemniczy wąż w angielskim jeziorze albo na przykład „skarb w srebrnym jeziorze”... Tak, tak, choć starszym Czytelnikom kojarzy się on bar dziej ze znaną powieścią Karola Maya — ostatnio dużo się pisze o skarbie we wsi Sadłużek. Skarb ten spoczywa sobie na dnie niewielkiego jeziora, którego właścicielem jest pan Józef Kamiński.

wsze podnieca umysły, ale to oczywiście nonsens. Odpowiednie ustawy PRL w sposób jednoznaczny za bezpieczają ukryte w ziemi skarby, mogące mieć wartości historyczne, muzealne czy po prostu artystyczne.

A właśnie o takie skarby tu chodzi, choć wszystko to owiane jest bardzo mglistą legendą... Mówi się zatem, że rycerze po bitwie pod Płowcami (a Płowce dzieli od Sadłużek zaledwie siedem kilometrów) „skarby te zważywszy w głąb jeziora, dotychczas na dnie spoczywają”. Cytat pochodzi z pracy Maksymiliana Boruckiego pt. „Ziemia Kujawska pod względem historycznym, geograficznym, archeologicznym, ekonomicznym i statystycznym”.

nym”. Dzieło o tak długim tytule mogło powstać tylko w wieku XIX a wydano je dokładnie w 1882 roku.

Tyle jeśli chodzi o jakiś konkretny zapis w tej sprawie. Reszta jest milczeniem a raczej domysłem i legendą. Archeolodzy mają nadzieję, że w legendarnej dębowej skrzyni znajdują przykłady unikalne złote monety Władysława Łokietka z emisji 1330 roku. Do dziś zachowały się zaledwie dwie takie monety i ich cena osiąga obecnie setki tysięcy złotych.

Nie wyobrażam sobie jednak, że po szczęśliwym wydobyciu skrzyni „najbogatszy człowiek w Polsce” wejdzie sobie do łódzkiej „Desy”, wyciągnie z portfela pieniążek i powie: „oto moneta króla Łokietka, poproszę o pół miliona złotych i towar przechodzi z rączki do rączki”. Być może cierpię na niedowiad wyobraźni, ale taka sytuacja wydaje mi się nieprawdopodobna. Po cóż więc macieć w głowie siedemdziesięcioletniemu wieśniakowi i bujać go wyimaginowanym bogactwem.

Ale cała historia jest rzeczywistością w sam raz na letnie upaly — nadaje się do wczesnej lektury. Już się zgłosili plotwonurkowie — także z Łodzi — a

więc Sadłużek — włoska mała będzie miejscem pielgrzymek fotoreporterów i reporterów, wczasowiczów i autostopowiczów.

Nie jest to w końcu takie złe — co by nie powie dzieć o gongach sensacji w jakie się z tej okazji dzwoni — cała historia ma niezaprzeczalne walory poznawcze. Czytelnicy „Expressu” — i tego łódzkiego i tego warszawskiego dowiedzą się coś o naszej przeszłości — o królu Łokietku, o bitwie pod Płowcami, o numizmatyce, o pracy archeologów...

Takie właśnie „ogórkowe” sensacje sprawiają, że na pierwszych stronach po południowych gazet zjawiają się informacje o naszej historii i kulturze, które — z bólem przyznac — trzeba — zwykle goszczyć na ostatnich kolumnach. Więc dobrze — niech szukanie monet króla Łokietka odbywa się przy prasowej kampanii sensacyjnej!

Bo przecież w takiej kampanii obok informacji ile setek tysięcy złotych wart jest dziś maleńki pieniążek z 1330 roku, Czytelnik dowie się, że „monetka króla Łokietka” była pierwszym złotym pieniądzem w Środkowej Europie, że oparcie ówczesnej waluty na złocie było w tym czasie symbolem zjedno-

czenia państwa polskiego i umocnienia królewskiej władzy...

A jeśli już mówimy o polskich pieniądzach, to miały one szacunek i wagę w Europie nie tylko przed stułeciami, ale mają i dziś. Tak, tak, — zaledwie miesiąc temu odbyła się w Zurychu aukcja numizmatyczna, na której prezentowano m. in. zbiory monet rzymskich z portretami cesarzy Wespazjana, Severusa, Karakalli... A jednak największym wydarzeniem aukcji okazała się moneta 40-dukatowa Zygmunta III Wazy, wybita w 1621 roku na cześć zwycięstwa nad Turkami i słynnej bitwy pod Chocimem. Moneta ta osiągnęła najwyższą cenę na aukcji — 50 tysięcy franków szwajcarskich.

Czy można się więc dziwić emocjom archeologów i dziennikarzy, czy można się dziwić, że tak roznamietnili ich skarb na dnie kujawskiego jeziora? Przecież tam, w tej przegniej dębowej skrzyni drzemią prawdziwe skarby i nie potrzebujemy przeliczać ich na franki czy dolary. Są to skarby kultury i żadna sensacja wokół ekspedycji nie jest zbyt mała. Nawet jeśli to wszystko jest tylko legendą.

JERZY WIDOK

BERNARD SZTAJNERT



LEO KERGE

# KOLEGA ZE SZKOLE NEJ LAWY



Leo Kerge — pisarz estoński,  
który w tych dniach przeby-  
wał w Łodzi.  
Rys. H. Valk

Najpierw lunął deszcz i droga zrobiła się śliska, potem szybko zapadł zmrok i umilkł silnik. Gdy w ciemnościach straciłem kałose i nadzieję, że jeszcze kiedykolwiek silnik odezwie się, przepchnąłem samochód na pobocze drogi i zagadnąłem o jakiś nocleg staruszką, który już od dłuższego czasu obojętnie przyglądał się mym wysiłkom.

— Niech pan idzie do wielebnego, sam jeden nie szkwa do domu — doradził mi.

— A coż to za wielebny? — Autentyczny. Prawosławny pop. Pójdzie pan przez mostek, potem wzdłuż rowu — to blisko, nawet stu sążni nie będzie...

Dom popa był ponury, za niedbany. Po omacku znalazłem kuchenne wejście, na cisnąłem kłamkę i wszedłem do korytarzyka, z którego półotwarte drzwi pro wadziły do pokoju. Na wywróconej do góry dnem beczce paliła się świeca w wysokim srebrnym lichtarzu. Plecami do mnie, pochylony nad drugą, otwartą beczką, stał chudy, wysoki mężczyzna w zawiniętych do kolan kałosach i kiłił ogórki.

— Dobry wieczór! — odezwał się od progu. — Czy zastałem popa?

— To ja jestem pop — mruknął. — Ale w taką pieką pogodę nawet do umierającego nie pójdę. Niech zaczeka do jutra.

Kichnął jak z moździerza, przeżegnał się trzymając w ręku ogórkiem i obrócił ku mnie błądą, asce tyczną twarzą z obwisłymi powiekami, całą w piegach.

— Amandus! — zawołałem zdumiony. — Jak się masz?!

Mój dawny kolega ze szkolnej ławy wrzucił ogórek do beczki i odstąpił w uśmiechu przeredzone, żółte zęby.

W taki oto sposób ślepy los rzucił mnie z wertepów wprost do domu popa, gdzie czas jakby zatrzymał się w miejscu. Z zaciekawieniem przyglądałem się czarnej sutannie, wiszącej na ścianie obok myśliwskiej dubeltówki.

— Wszyscy grzeszymy — westchnął Amandus, stawiając na stole, obok samowaru z filiżankami, karafkę i kieliszkę.

Gdy doszło do sakramentalnego „Jak ci się żyje?“, mój były kolega szkolny wzruszył ramionami, opuścił olowiane powieki i zwierzył mi się, że z żoną się rozszedł, że cerkiew też już jest stara i tylko patrzeć jak się rozsyple, para fia mała a naród tępy.

— Moje stadko to raptem dwanaście duszyczek. A kiedyś aż serce rosło, jak tu wszystko walilo do świętej komunii!... Eeeech. Niech Bóg im wybaczy... No, na zdrowie! A pamiętasz Jassa Kuldhaamera?

— Małego Jassa? Oczywiście! Podobno on też tu się gdzieś zadekował.

— Jeszcze jak! Mówię ci, otoczył mnie jak, nie przy mierzając. Rzym — Watykan. Nie rozumiesz? Dokoła mojej cerkwi rozciągają się pola kolchozu „Ihendus“, a Jass jest przewodniczącym tego kolchozu.

— Coś takiego! Ho, ho. Zrobił karierę nasz mały Jass...

— Jak! On tam znów mały — obruszył się Amandus.

— Posel całą gębą, mistrz dobrego urodzaju na województwo i diabli wiedzą co jeszcze. Ale, wiesz, on się

wcale nie zmienił. Jak dawniej jest spokojny, zgodliwy, no co ci będę dużo mówił: brat-lata! Żeby jeszcze zaniechał tych swoich sztućców. Twoje zdrowie!

— Jakich sztućców? — Wiadomo jakich... Stawiali szopę dla kolchozu.

Aż żal było patrzeć jak się obchodzą z deskami. Spotykałem go i mówię: „Dałbyś mi trochę tych skrawków, przecież i tak pójdą na rozpałkę. A u mnie w cerkwi sufit trzeszczy, a drzwi się tak rozklekotały, że lada podmuch wiatru je otwiera. Muszę zrobić jakiś remont“.

Jass pomyślał chwilę i mówi: „Nie dam. Gdybyś chciał na chlew albo na obojętne, dałbym bez dwóch słów. A na cerkiew nie i basta!“.

Tak powiedział, a ja jemu na to:

„Pomyślałbyś chociaż o swojej matce. Każdej niedzieli sterczy w cerkwi, a z sufitu leje się jej za kołnierza. A poza tym jesteście przecież kolegami ze szkoły!“.

Znowu pomyślał i powiedział: „Zgoda, dam ci desek, ale nic za darmo“.

Ja jemu na to, że parafia biedna groszem nie śmierdzi, a jak mu się inaczej odwdzięczyć? Modlić się nie modli, chociaż przydało by się to jego grzesznej duszy.

— Nie chce parafialnych pieniędzy, a grzechów żadnych na sumieniu nie mam“ — odpowiada Jass, jakby to w ogóle bywali ludzie — bez grzechów. I jeszcze zaznacza: „Mało mam rąk do pracy, a z pół na gwałt trzeba zbierać. Pokopiesz, powiada, z dzień, dwa u nas w kolchozie i będziemy kwita!“.

— Wypisz, wymaluj, nasz Jass! — roześmiałem się, odgryzając kawał ogórka.

— A czy wiesz — warknął Amandus z trudem podnosząc obrzmiałe powieki — że już byłem prawie skłonny iść kopać kolchozo we kartofle? Ale rozmyśliłem się: dostojęństwo nie pozwala. Na wsi tylko czekają na taką gratkę: pop wywija motyką na polu kolchozowym! Taaak... A naza jutro po odprawieniu nabożeństwa zagadnąłem matkę Jassa:

„Wierzysz w Boga?“

„Prawie“.

„Co to znaczy prawie?“

„Prawie nie wierzę“.

„A dlaczego przychodzisz każdej niedzieli do cerkwi?“

„Na wszelki wypadek“ — odpowiada beczelnie starucha.

Splunąłem i przeżegnałem się. Co za tępy naród! Prawdziwej wiary coraz mniej z każdym dniem. Całą parafię obszedłem i możesz mi wierzyć albo nie — wszyscy wykreśli się sianiem. Tego rozboleł ząb, tamtemu akurat krowa się ciełiła. Znalazły się tylko dwie wierne dusze, którym dom boży nie pozostał obojętny. Alittoa

Madis, śpiewa u mnie jako pomocnik diakona, i zbżiko wana, stara Ohmu-Miili. Po szli nazajutrz we dwoje na pole i pracowali cały tydzień na chwałę stwórcy. Sam Jass pochwalił ich, że odwalili kawał dobrej roboty i zgodnie z obietnicą przysłał następnego dnia dwie fury okrawków — taaak... Jedną Madisowi, drugą Miili. Zachodzę ci do Madisa na podwórze a on wbija ostatni gwóźdź w ścianę szopy i tak niby od niechcenia powiada:

„Rozłączyła mi się już całkiem, a teraz, ojciec popatrz, znowu trzyma się kupy“.

A ta zbżikowana, beczel na baba jeszcze jakieś aluzje mi zrobiła!

„Nudno u ojca w cerkwi, powiada, jak na pogrzebie. Spać się chce na ojca kazaniach. A w mieście to co innego. Jak założą gadkę o sędzie ostatecznym, to aż ciarki przechodzą człowiekowi w po krzyżu. A ojciec co? Ni be ni me, ni kukuryku!“

— No i jak ci się podoba taka podłość? — zaperzył się Amandus. — Ze też Bóg

nie pokarał na miejscu tej grzesznicy!

Westchnął i podniósł karafkę pod światło. Była pusta.

Nad ranem deszcz ustał. Przy dziennym świetle odnalazłem uszkodzenie w silniku i kałosze. Potrząsnąłem na pożegnanie kości stą, wilgotną ręką mego szkolnego kolegi i pomknąłem do miasta.

A onegdaj w sklepie mięsnym na rogu usłyszałem jak jakaś staruszką, w czarnej chustce na głowie, opowiadała szeptem naszej byłej gospodyni o nowym gościelu w sekcje „Golgota“:

— Mówię pani, i twarz ma jakąś inną niż wszyscy — błądą, pociągłą, a w oczach jak odmieknę powieki — nadziemiński ogień! A kiedy zasunie o sędzie ostatecznym, to człowiek nie wie co się z nim dzieje. Za brałem tam z sobą mego starego, ale ten diabeł tak się spietrał, że drapnął zaraz do domu i do butelki się dobrał. Już drugi tydzień pije i pije bez przerwy...

Przeł. ADAM RÓŻANY



Fot. A. Wach



## Lewym okiem

### DYSKUSJA BEZ PODSUMOWANIA

Uwagi, dotyczące poprawności i niepoprawności językowej, to jeden z ulubionych tematów do towarzyskiej konwersacji, z rzędu takich jak pogoda, złodzieje, zachorzy i przygody wojenne. Prowadzone latami, dziesiątkami lat poradniki językowe, kąciki, podręczniki, korespondencje świadczą najlepiej o tym, jaki bezmiar wątpliwości drażni nieustannie wielbicieli polszczyzny, ile jest ciągle spraw do załatwienia, ile uczuleń szlachetnych, pietyzmu pełnych, a ile purytańskiego „mienia za złe“.

To bardzo dobrze, to dowód, że kochamy nasz język i życzymy mu wszystkiego najlepszego. A właśnie życząc mu jak najlepiej chcielibyśmy ustrzec się i tego niebezpieczeństwa, które tkwić może w zbytnej sterylności, czystości języka: byłby wtedy narzędziem ostrym i czystym, ale nie do użytku na co dzień. Dlatego pozartujemy trochę z nazbyt purystycznych tendencji, można?

Kilkanaście lat temu „Przekrój“ ogłaszał konkurs na spolszczenie słowa „bruderszaft“. Słowo, jak wiadomo, jedno z najczęściej używanych, wybór był celny, konkurs obelany przepisowo. Identyfikacyjny zresztą ogłosił jeszcze kilkanaście lat wcześniej, tuż przed wojną, fascynujący miesięcznik „Merkuryusz“. Wtedy nagro-

dzo „pobratymstwo“, „Przekrojowi“ podobał się najbardziej „petyk“. Ale pijemy nadal brudzia i nic na to się nie poradzi.

Przed osiemdziesięciu laty autor „Pana Damazego“ i „Marcowego Kawalera“ (dawno już nie granych komedii), Józef Bliński wydał broszurkę pt. „Barbaryzmy i dziwolągi językowe“. Odsądzał w niej od czci i wiary słowa, które dziś uważamy za jak najbardziej oczywiste i niezbędne. Flirtować? Flirtować to, „wyraz angielski, a właściwie z pochodzenia amerykański. Trzpiotać się, przymilać się, umizgać się do mężczyzny. Powiększył bez potrzeby liczbę barbaryzmów, wchodzących w użycie gdy mowa o lekkich miłostkach, zalecankach“.

„Demolować — słowo zrobione najniepotrzebniej z francuskiego demolir, tłumaczącego się dostatecznie przez polskie rozrzuć“.

„Masakra — zamiast mordowanie, ubijatyka“.

„Pikantny — wyraz ichtny humorystyką, którego na serio brać nie można. Ma malować to, co po polsku nazywa się rzeczami gorszącymi, pieprzonymi, drażniącymi“.

Spelunka powinna się nazywać ładnie, po polsku jaskinia. Obskurny, to przecież po prostu lichy. Elita, to kwiat.

„Agresywny — ulubiony wyraz dziennikarzy, których zdaniem byłoby wielką szkodą dla stylu powiedzieć po polsku: zaczepny“.

„Dezawuować — dzięki barbaryzmowi właściwy dziennikom dla zastąpienia jakoby niedostatecznych wyrażań polskich: zapierać się czego, ganić“.

Jak widać — dla Blińskiego „flirt“ był dziwolągiem, ale „barbaryzm“ czysto polskim słowem. Znajdujemy tam zresztą wyrazy, które się na dłużej nie przyjęły, oczywiście nie dlatego, że dezawuował je... przepraszam, zganil sławny komediopisarz. Nikt nie wie dziś, co to

egzasperacja, bonfortunka (miłostka!), akma i inepcja (brednia...) Co by też było, gdyby przyjął nauki pisarza najdosłowniej? Nie mogliśmy napisać tak:

„Wczorajszy incydent w obskurnej podmiejskiej spelunce, którą omija elita naszego grodu, zaczął się od pikantnego flirtu, a skończył masakrą. Lokal zdemolowano“.

Musieliśmy napisać tak:

„Wczorajszy wypadek w lichy podmiejskiej jaskini, którą omija kwiat naszego grodu, zaczął się od pierwszego trzpiotania, a skończył ubijatyką. Lokal rozrzucono“.

Zamiast zdania:

„Ekspert od spraw inwestycyjnych wysunął dezyderat aflitowania kontrahentów do konsorcjum“ — musieliśmy posłużyć się czystą polszczyzną Blińskiego:

„Znawca wkładów wysunął pragnienie przypuszczenia umawiających się do towarzysztwa“.

I tak brzydko, i tak śmiesznie, prawda? Jakaż więc powinna zapanować zasada: puścić wszystko na żywioł, niech słowa rodzą się i giną same jak rośliny, ptaki i motyle, czy też uprawiać forsownie „zagon ojczyźnej mowy“, przycinać, przyczesywać, okopywać? A jeśli uprawiać — to czy z suchym, akademickim receptarzem w ręce, z instrukcją ustalającą raz na zawsze kryteria i kanony?

Ani tak się nie uda, ani tak. — Są jak w świecie muzyki — stylisci znakomici, o absolutnym językowym sluchu, wyczuleni na piękno i celność wyrażań. Są i tworzą. Czytajmy ich. Czytajmy klasykę literatury polskiej, i — oczywiście — dyskutujmy, choćby nawet dyskusja nie rokowała możliwości spisania „wiążących notatki“ o tym, które słowa są cacy, a które be.

CWIEK